Nr. 30. Poznań, Niedziela dnia 28-go Lipca 1901 r. Rok V.



Przedpłata w Poznaniu i na wszystkich pocztach w Niemczech wynosi kwartalnie ***1,25 m.****; na poczcie w Austro-Węgrzech* ***1 kor. 73 hal.***
Pod opaską: *w Niemczech* ***1,90 mr.****, w Austro-Węgrzech* ***2 kor. 30 hal.*** *za Oceanem* ***1 dolar 25 cent.***
Redakcya i Administracya „Pracy“ znajduje się w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. — Telefon Nr. 1246.

Manuskryptów nie zwraca się.

Od Wydawnictwa.

Niniejszy numer „Pracy“ składa się wyłącznie z artykułów i korespondencyi, pochodzących wyłącznie z pod pióra naszych Czytelników. Z jednym tylko wyjątkiem, autorowie-czytelnicy są to ludzie o zgrubiałych od pracy fizycznej rękach; żaden z nich nie kształcił się w innym zakładzie naukowym, jak w pruskiej ludowej szkole z czasów Bismarka; niektórzy od wielu lat już przebywają na obczyźnie, w Berlinie i we Westfalii, — inni mieszkają na Górnym Śląsku, kilku w Poznańskiem. Pomimo jednak tych różnic w warunkach bytu i otoczenia, — pomimo niweczącego pierwiastki narodowo-polskie wpływu pruskiej szkoły, wszyscy oni chlubne składają świadectwo, że w nas wszystkich, czy to ze sfer wyższych, czy w ludzie, istnieje siła odporna, żyje idea polska, myśl polityczna, obywatelska — i umie się sama przyodziać w formę zewnętrzną pisanego słowa.

Dlatego też — dając dziś Czytelnikom ten numer z ich prac wyłącznie złożony — upatrujemy w nim coś więcej, prócz miłej pamiątki dla nich i ich rodzin: my sądzimy, że ten numer „Pracy“ jest żywem świadectwem myśli politycznej, żyjącej wśród naszego ludu, — że on jest cennym dokumentem historycznym, który znamionuje stopień oświaty narodowej i poziom myśli politycznej wśród najszerszych warstw naszego społeczeństwa.

W tej też myśli wydajemy ten numer specyalny, ubolewając jedynie, że byliśmy w możności pomieścić zaledwie maleńką cząstkę nadesłanych artykułów. Około 250 gotowych do druku korespondencyi i artykułów leży od kilku miesięcy w naszej redakcyi, oczekując na swą kolej.

Wydawnictwo „Pracy“
Marcin Biedermann.

Od czytelnika — do czytelników.

Niejednokrotnie już zauważyła redakcya naszej „Pracy“, że my, czytelnicy jej, będąc przeniknięci jednakowym duchem i dążnościami, powinni pomiędzy sobą uważać się jakby za wielką jedną rodzinę, w obrębie której koniecznie potrzebną jest wymiana myśli i politycznych zapatrywań. Ponieważ „Praca“ w największym zakresie chce uwzględniać nadsyłane przez czytelników listy i artykuły, więc z tego przywileju, jako stary czytelnik i zwolennik „Pracy“ chcę korzystać i kilka moich myśli wyłuszczyć.

Przez całe ubiegłe stulecie, XIX, przekołatał się nasz naród bez egzystencyi politycznej: ale pozbawione tego tak ważnego pola działania, społeczeństwo nasze zdobyło sobie oręż, który do pewnego stopnia i brak politycznej niezawisłości zrównoważyć może — zdobyło sobie, mianowicie w szerszym zakresie oświatę, niż kiedykolwiek w Polsce była rozszerzona; zdobyło ją sobie wśród najgorszych warunków, będąc osaczone ze wszystkich stron, broniąc już nie politycznego, ale wręcz narodowego bytu swego równocześnie na kilka frontów. W szerzenie oświaty między ludem społeczeństwo nasze włożyło cały zasób energii, na jaki je tylko stać było. — Pamiętajmy, że każdy krok, który już postąpiliśmy naprzód w oświacie ludowej, jest okupiony tysiącznemi ofiarami jednostek i całego społeczeństwa.

Oświata narodowa i polityczna krzewi się pomiędzy naszym ludem głównie zapomocą gazet i pism perjodycznych.

Jeśli może pod wielu innymi względami inne dzielnice Polski wyprzedzają zabór pruski, to sprawiedliwość każe przyznać, że Polacy pod rządem pruskim zato pochwalić się mogą rozwiniętem wysoce wśród ludu i warstw mieszczańskich czytelnictwem. Nie trzeba znów tego brać zbyt lekko — bo na to rozszerzenie pism polskich bardzo dużo usiłowań się składało, zanim gazety tak zostały rozszerzone, jak są teraz.

Zanim się doprowadzi do tego, aby jeden i drugi zapisał sobie gazetę polską, to dużo mozołu trzeba; ale więcej jeszcze, aby doprowadzić u całych tysięcy ludzi do tego, że im gazeta wej-

dzie w krew i nerwy, że się stanie ich przyzwyczajeniem i nazawsze będzie potrzebą domową. To dziesiątki całe lat upływają, zanim się ujawnią wyniki tych zacnych obywateli kraju, co nie szczędząc czasu i trudów, rozdają okazowe numery znajomym, zachęcają do zapisania sobie gazety, prowadzą wreszcie dysputy o sprawach bieżących politycznych, aby swemu znajomemu pokazać, że dziś żaden człowiek, czy to robotnik, albo właściciel ziemi, lub kupiec, nie powinien się obyć bez gazety polskiej, jeśli nie chce być zupełnie ciemnym i odosobnionym, jak owca od stada.

Jakem był na obczyźnie, wśród Niemców, ale w okolicy, gdzie przebywa dość dużo Polaków, to i sam zauważyłem i potwierdzili to inni, że ci Polacy, co trzymają gazety polskie z kraju — ci z pewnością narodowość swoją zachowają, dzieci w przywiązaniu do Polski wychowują a wreszcie, dorobiwszy się nieco grosza, wracają i stają się najlepszymi i najpożyteczniejszymi obywatelami kraju. A zapytajcie natomiast, co się dzieje z tymi ciemnymi ludźmi, którzy idą na obczyznę, a żaden z nich ani do ręki nie bierze gazety polskiej: ci już są napewno straceni dla kraju, bo im gazeta oczu nie otwiera na obowiązki względem Ojczyzny, więc też tak idą w świat, jak to nasienie leśne, które z wiatrem pędzi i tam padnie i wzrasta, gdzie je wiatr zaniesie.

Tak samo dzieje się i z ludźmi w kraju. Przejeżdżając niedawno po Górnym Śląsku rozmawiałem z jednym dzielnym wiarusem o tem, jak to będzie w przyszłych wyborach i czy nasza garstka potrafi przeprowadzić narodowego polskiego kandydata; na to on mi powiada: „przeprowadzilibyśmy napewno Polaka, gdyby nie to, że u nas na Śląsku jeszcze tak dużo jest ludzi ciemnych, co pisma polskiego do ręki nie wezmą i drukowane słowo do nich nie trafi. Ci, co nie mają oświaty, nie mają i własnego zdania: pierwszy lepszy może nimi owładnąć, czy Niemiec — luter, czy centrowiec — hakatysta — bo oni nie mają gazety, któraby ich poprowadziła z ciemności na jasny dzień i zdanie własne w nich wyrobiła.“

Tak mówił mój znajomy i wiem, że się nie mylił. Bo jeszcze dużo, bardzo dużo jest wśród nas ciemnego ludu, co to gazet nieczyta. Widzimy z tego, jak źle się wywiązują wobec swych współbraci ci, co mogąc, nie szerzą pism polskich i nie namawiają ludu do ich czytania.

Bo przecież ten lud, jak jest ciemny bez oświaty, to sam po omacku do źródła nie trafi, jeno ten współbliźni, co widzi dobrze, musi go wziąść za rękę, przyprowadzić, pokazać gazety i powiedzieć: „masz, bracie, czytaj, jeśli chcesz być oświeconym człowiekiem i dobrym Polakiem.“

Do tego więc obowiązku wzywam was, wszyscy czytelnicy „Pracy“. Każdy z nas niech pokaże, że rozumie, iż oświata nie dla niego jednego, ale dla wszystkich istnieje. Każdy powinien sobie szukać chluby w tem, aby módz przy zmianie kwartału napisać do redakcyi: „Kochany redaktorze! Ty siedzisz w więzieniu, albo jesteś wydalony, albo ci meble sprzedają za procesy prasowe, boś nam dobrze pisał — a ja zjednałem Twemu pismu nowych dziesięciu czytelników.“ W ten sposób każdy z nas spełnił swój obowiązek, a ja składam świadctwo, że nie dla niemych głazów wydajesz swoje pismo.

Kochani czytelnicy! Starajmy się rozszerzać *„Pracę“ w Księstwie i w Prusach Zachodnich,* bo z niej poznajemy chlubną przeszłość każdego miasteczka i wioski naszej; szerzmy *„Pracę“ na obczyźnie,* aby uchronić rodaków od germanizacyi; szerzmy *„Pracę“ na Górnym Śląsku,* abyśmy za rok wybrali samych Polaków na posłów!

Jeden za wielu.

In der Strafsache

gegen

den Redakteur Alfons Kaniewski in Posen, geboren am 2. September 1862 in Schildberg, katholisch,

wegen Pressvergehens und Beleidigung

hat die zweite Strafkammer des Königlichen Landgerichts zu Posen in der Sitzung vom 18 Mai 1901 für Recht erkannt:

Der Angeklagte ist der Beleidigung schuldig und wird deshalb zusätzlich zu der durch Urteil des Königlichen Landgerichts in Posen vom 28 Maerz 1901 wegen Vergehens gegen § 130 Strafgesetzbuchs wider ihn erkannten zehnmonatlichen Gefängnisstrafe zu noch zwei Monaten Gefängnis verurteilt. Auch werden dem Angeklagten die Kosten des Verfahrens auferlegt.

Dem Beleidigten, früheren Staatssekretär im Reichspostamt, jetzigen Staats-und Landwirthschaftsminister v. Podbielski, wird die Befugnis zugesprochen, die Verurteilung des Angeklagten auf dessen Kosten innerhalb vier Wochen nach Zustellung einer mit der Bescheinigung der Rechtskraft versehenen Urteilsausfertigung durch je einmalige Einrückung des entscheidenden Teiles des Urteils in die „Praca“, in die „Posener Zeitung“, in das „Posener Tageblatt“ und in die „Neue Preussische Zeitung“ (Kreuzzeitung) auf Kosten des Angeklagten öffentlich bekannt zu machen, und zwar

in der „Praca“ auf der zweiten Seite des Hauptblattes, in der zweiten Spalte, in derselben Schrift wie der mit den Worten „An Wielmożny Pan Podbielski“ überschriebene Artikel in Nr. 6 von 10 Februar 1901.

Alle Exemplare der bezeichneten Zeitungsnummer, welche sich im Besitze des Verfassers, Druckers, Herausgebers, Verlegers oder Buchhändlers befinden oder öffentlich ausgelegt, oder öffentlich angeboten sind, sowie die zur Herstellung des vorbezeichneten Artikels bestimmten Platten und Formen sind unbrauchbar zu machen.

Von Rechts Wegen.

Vostehendes Urteil hat die Rechtskraft beschritten und wird hiermit zur öffentlichen Kenntnis gebracht.

Posen, den 18 Juli 1901.

Der erste Staatsannwalt.

Nasz „obywatel z ludu“.

„Praca“ pisząc raz w swych artykułach o naszym ludzie roboczym wypowiedziała zdanie, że „do tego przyszłość należeć będzie, kto będzie umiał nim pokierować.“ Dlatego warto się zastanowić nad teraźniejszym stanem naszego ludu roboczego. Żyjąc już od młodości wśród ludu, stykając się z nim bezpośrednio i obserwując go na każdym kroku, mogę się podzielić mojemi spostrzeżeniami i uwagami z Szanownymi

Czytelnikami „Pracy“. Lud nasz właściwy dzieli autor powyżej wzmiankowanych artykułów na dwie klasy t. j. na gospodarzy i wyrobników, lecz podług jego posiadłości i całej wewnętrznej istoty należy go podzielić raczej na trzy klasy: gospodarzy, właściwych wyrobników i ludzi dominialnych. O naszym ludzie gospodarczym wiele już pisano i mówiono — nawet w parlamencie, dlatego jest on dość znany ze swej pracowitości i z coraz wzmagającego się swego rozwoju. Pod względem oświaty stoi on prawie na równi z małomiejskim obywatelem, przewyższa go zaś swoją zdrowotnością i inteligencyą moralną; zasila on nadto stan średni świeżemi siłami, z jego łona wychodzą pracowici rzemieślnicy i rozumni przemysłowcy. Na niższym już stopniu oświaty stoi wyrobnik. Posiada on często własny domek i parę mórg roli — na miejscu nazywają go chałupnikiem — albo mieszka w najętym jako komornik. Żyje on z pracy rąk swoich, zatrudniony już to w kraju przy wszelkich budowlach, cegielniach, często przy dominiach szczególnie zimą, już to roznosząc swą „siłę muskularną“ po całych Niemczęch. Jest to najzdrowsza i najsilniejsza gałęź naszego drzewa narodowego; wyrobnicy to podtrzymują swoim zarobkiem naszą mniejszą własność ziemską, chroniąc ją od zatraty przez wykupowanie małych parceli, wyrobnicy to przynoszą oświatę w szersze masy, którą nabyli dopiero w obcych stronach przez czytanie pism polskich i towarzystwa tamtejsze, budzą i krzewią ducha narodowego śród swoich ziomków. Znam wielu takich wyrobników, którzy umiejąc zaledwie czytać, nim poszli do Westfalii, przybyli do kraju zupełnie uświadomieni i wyrobieni politycznie; kupili oni sobie chałupkę i pare mórg roli i ciągle sobie przykupują. Naturalnie wyjątki się znajdują, które na obczyźnie giną dla naszego społeczeństwa, ale gdzież niema wyjątków?

Fundamentem, korzeniem naszego narodu jest tak zwany „lud pański“, pracujący w dominiach. Jest on jeszcze takim samym, jakim był niegdyś: zdrów i silny, pracowity i pobożny, dobroduszny i spokojny; ten sam, o którym śpiewali Brodziński i Lenartowicz; niestety mieszka on jeszcze dziś w zimnych i dziurawych lepiankach — nasi kulturnicy ze zachodu nie postawili mu nowych domów, tylko łatają i podpierają stare. Jeszcze po dziś dzień wierzy on bardziej znachorce czyli tak zwanej „mądrej“ jak doktorowi, tworzy legendy i bajki, które idą z ust do ust, składa piosenki, które śpiewa po karczmach. Zachował on dotąd czysto polskie obyczaje i zwyczaje i czystą, nieposzlakowaną duszę, ma jednak jednę wielką wadę: pijaństwo. Powodem tego złego jest brak oświaty.

Mieszczanie i gospodarze nie mają nań prawie żadnego wpływu, mało się też z nim stykają. Jedynie księża i właściciele ziemscy mogą na niego wpływać, których też najpierwszym i najświętszym obowiązkiem powinno być dobro tego ludu najbardziej upośledzonego. Lecz gdzież są nasi polscy panowie? Wielu poległo z chwałą na swej ziemi i dla swej ziemi, wielu pognał wicher powstańczy daleko na emigracyą, a ich spuścizną obłowił się chciwy przybysz, wielu też, bardzo wielu zaprzedało swą matkę — żywicielkę, a ten lud biedny został na łasce i niełasce głodnych kulturników, którzy zbogaciwszy się, ponieśli teraz tę krwawą pracę naszego ludu na wystawę. W ostatnim czasie daje się czuć jakieś przymilanie się tych niemieckich panów do ludu, są oni nadzwyczajnie wspaniałomyślni względem jego potrzeb religijnych, dają głośne zapomogi na kościoły i puszczają lud swój w jasny dzień od pracy do kościoła, bądź to na pogrzeb pasterza, bądź to na procesye i t. d. Te spostrzeżenia zrobił piszący te słowa w okolicy Czempinia, gdzie właśnie najgorliwsi siedzą Hakatyści. Lecz aby odwieść ten lud od pijaństwa, ci panowie niemieccy jeszcze nic dotąd nie zrobili, przeciwnie obiecują mu wódkę, aby tylko mocno robił, nadto poobsadzali gościńce Niemcami.

A jednak trzeba będzie odwieść ten lud roboczy od pijaństwa, inaczej przyszłość nie do nas będzie należeć. Drzewo, jeżeli mu korzenie przegniją, runie, gdy burza nań uderzy; tak też się stanie z naszem społeczeństwem, jeżeli podstawy jego, t. j. lud nie będzie zdrów fizycznie i moralnie. Nie pomogą tu odpisywania się od wódki lub tym podobne przestarzałe środki, lecz trzeba koniecznie iść pomiędzy ten lud i nauczać. Mamy przecież po miastach towarzystwa robotnicze, czyby i po wsiach w każdej parafii nie mogło istnieć takie towarzystwo katolickich robotników, krzewiące oświatę i rugujące pijaństwo? Nad tem niech się namyślą ci światli obywatele, którzy stykają się z ludem i znają jego dolę lub niedolę.

Przy końcu wypada nadmienić mi jeszcze o jednej cząstce naszego ludu, która stoi na najniższym stopniu pod względem moralnym, o proletaryacie polskim, zamieszkującym ciasne zaułki naszych przedmieść. Jest to ten odłam naszego społeczeństwa, leniwy i pozbawiony wszelkiego poczucia moralnego. Na ten niski poziom moralności przywiodło tych ludzi przeważnie pijaństwo. To jest właśnie gotowy materyał dla socyalistów, z którym też jedynie mają powodzenie. Lecz i tą cząstką powinny się zająć towarzystwa robotnicze. A więc jeszcze i wdzięczne pole pracy leży przed obywatelami światłego rozumu i dobrej woli.

Światopełk.

Walka o nasze prawa polityczne.

Pomimo zagwarantowanych praw na kongresie wiedeńskim, gdzie to zapewnioną mieliśmy mowę polską w urzędach, sądach i szkole, rząd pruski starał się wszelkiemi rozporządzeniami prawa nasze uszczuplić. Znośnym by jeszcze nazwać można ten stan aż do roku 1871. Ale kiedy to

Niemcy wyszli zwycięzko z wojny z Francyą, buta i zarozumiałość ich nie znała już granic. Pamiętne są dobrze słowa, które wróg nasz największy, Bismark, wypowiedział: że „Niemcy nikogo się nie boją prócz Boga.“ To też po tem oświadczeniu i po zwycięztwie nad Francuzami, zdaje się, że samo piekło się poruszyło — to taka burza się zerwała przeciwko katolikom i przeciw Polakom. Chciano jednym zamachem rozbić i rozwalić zarówno naszą narodowość, jak i naszą św. katolicką wiarę. Pamiętamy dobrze jak to naszych kapłanów więziono, goniono, jak zbrodniarzy jakich i spoczynku nie dawano. Niejeden kapłan musiał nocować pod gołem niebem na deszczu i słocie, bo nie miał gdzie głowy skłonić z obawy, aby go żandarm pruski nie aresztował. Ale omylił się Prusak, skała Piotrowa — jak stała tak stoi. Zawstydzeni z Bismarkiem na czele przyznali, że zawiodła ich nadzieja zwalenia kościoła katolickiego pod stopy swoje i zawołali słowami Juliana apostaty „Zwyciężyłeś Galilejczyku.“

Pomimo, że im się nie powiodło wiarę z serc naszych wydrzeć, nie dali za wygraną: Zaczęto nas z innej strony prześladować, uderzając bezpośrednio w naszą narodowość. Wygnano język nasz z urzędów, a na ostatku ze szkoły. Niektórym Niemcom za małem się wydaje prześladowanie, więc zawiązali się w Tow. hakatystów, ażeby rządowi dopomagać i podpowiedzieć, jakich się środków przeciw nam Polakom ma użyć. Wymyślają na nas kłamstwa jakobyśmy rewolucyą wywoływać chcieli — a czy dajemy pozór choćby najmniejszy jakiego buntu? Czyż nie płacimy podatków? słowem czy nie czynimy wszystkiego, co do nas jako obywateli państwa pruskiego należy?

Wiadomo przecież, że my chociaż na swojej ziemi od wieków od Boga nam danej, jesteśmy solą w oku Prusakom i dlatego chcąc się nas jak najprędzej ztąd pozbyć, uchwalono w roku 1886 100 milionów mrk., a za poradą H. K. T. niedawno temu drugie 100 milionów na wykupienie ziemi z rąk polskich. Mądrze sobie Prusak wyrachował, że gdy od Polaków ziemię wykupi, to nie będą mogli Polacy powiedzieć — to nasza ziemia, to nasza Ojczyzna.

A wiecie wy, bracia, co to jest Ojczyzna? Unieśmy się duchem tam pod stropy niebieskie i rzućmy okiem na dół: ukaże nam się widok piękny i wspaniały; przypatrz się dobrze, bracie, bo ci ukażę teraz Ojczyznę twoją. Patrz na północy to wody Bałtyku, po których niegdyś okręty handlowe polskie pływały. Na południe Karpaty z niebotycznemi szczytami — a na wschodzie rozległe stepy ukraińskie, po których jak koń rozhukany lecieć można nie znajdując nigdzie oparcia.

A ile to tu kościołów, wspaniałych świątyń, zamków, grodów, cmentarzy i pomników dawnej świetności naszej! A to pracujące mrowisko ludzkie, które nam się patrzącym z góry ukazuje, to lud polski, to Wielkopolanie, Kujawiacy, Krakowiacy, Mazury, Ślązacy i Litwini — to wszystko Ojczyzna twoja.

Och! jaka ona wielka i wspaniała, ale jaka smutna! Ran bolesnych bez liku, a oto jedna rana więcej: Już tysiące morgów ziemi polskiej wykupiono, a na miejscu, gdzie dawniej pieśń i mowa polska brzmiała, dziś jakieś obce postacie się snują.... Żeby to jeszcze nam Polakom było wolno, ziemię zakupioną na kolonie nabyć, toby było jeszcze pół biedy, ale gdzie tam! Chociaż na te 200 mil. marek tak dobrze jak Niemcy i my Polacy w formie podatków się składamy, to my prawa nie mamy odkupić ziemi od kolonizacyi. Nad nami powiewa hasło, na którem wypisano „*Ausrotten*“, wytępić to plemię polskie, bo ono nam tu zawadza, a więc precz z niem!“

Lecz nie tu koniec naszych cierpień. Hakatyści widzą, że handel i przemysł polski coraz lepiej się rozwija i że Polacy na tem polu biorą się do dzieła, więc starają się temu zapobiedz. A więc dalej nowe tysiące płyną na poparcie kupców i rzemieślników niemieckich. To też świętym obowiązkiem społeczeństwa polskiego jest wszelkie zapotrzebowania tylko u polskich kupców i rzemieślników uskutecznić. A pomimo to jakże smutnie pomiędzy nami wygląda? Lecimy tak, jak muchy do miodu, do obcych handli i tam ciężko zapracowany grosz bez potrzeby zostawiamy, a tem samem pomagamy nieprzyjaciołom naszym do konkurencyi z polskimi kupcami i przemysłowcami.

Jeszcze jeden obowiązek ma społeczeństwo nasze a mianowicie, ażeby warstwy wyższe synów swoich kształciły na zdolnych kupców, a ci mając potem kapitał gotowy w ręku, aby zakładali handle hurtowne, ażeby mniejszy kupiec nie potrzebował prowadzić interesu z obcymi. W czasach dzisiejszych nie możemy na co innego liczyć tylko na przemysł i handel. Bo i czegóż ta nasza młodzież ma się chwytać?....

A co sądzić o szykanach pocztowych? Co to za szyderstwo z nas! Pan Podbielski myślał, że się zaraz naszego kochanego języka polskiego zaprzemy. Ale nie, panie Podbielski, tego nie uczynimy i pomimo wszelkiego nacisku nie ustąpimy, i tak jak dotąd tak i nadal pisać będziemy adresy po polsku, bo żadne prawo zabraniające polskich adresów nie istnieje. Tak samo i z polskimi telegramami postępować będziemy. Nieraz urzędnik pocztowy nie chce przyjąć telegramu napisanego po polsku. Do tego niema on żadnego prawa, bo telegram podług prawa musi na pocztach niemieckich być przyjętym we wszystkich cywilizowanych językach, byleby pisane były łacińskiemi literami, a ponieważ nasze polskie są także łacińskiemi pisane literami, więc tem samem telegramy po polsku pisane muszą być przyjęte. Ale czego zaciekłość

hakatystów nie będzie chciała nam zabronić! — Nie tylko mówić i pisać nam zabraniają po polsku, ale przy tem ogłodzić by chcieli. Bo czyż to nie jest bojkotem polskich kupców i rzemieślników, ów zakaz, który wydano żołnierzom, aby nie kupowali nic od Polaków, tylko wszystko od Niemców?

Niejeden polski kupiec, któremu dziś chleb gorzknie, z pewnością walczył może aż w trzech wojnach za niemiecki Vaterland i krew lał za Niemców. Wtenczas to był dobry, bo szedł na zabicie a dziś to niech tam sobie zdechnie z głodu, bo już nie potrzebny. Tak samo i młodzieży naszej, kształcącej się w gimnazyach, utrudniają na wszelki sposób nauki i radziby, ażeby żaden Polak wyższych nauk nie posiadał, a tem samem, żeby cały naród został pozbawiony przewodników.

Dziś szkoła, której zadaniem jest kształcić serce i umysł dziecka, jest tylko zwyczajną machiną wtłaczającą niemczyznę w głowy tych malców. Ledwo dziecko zacznie chodzić do szkoły, nie usłyszy polskiego wyrazu, to dziecko, które nieraz niemieckiego słowa prawie nie słyszało, naraz ma się uczyć w obcym niezrozumiałym języku. To też takie dziecko chodzi 8 lat do szkoły i nic się nie nauczy, ani po niemiecku, ani po polsku nie umie dobrze napisać.

Mówi się dzisiaj dużo o samopomocy, t. j. że sami rodzice mają się wziąść do uczenia dziecka swego po polsku. Rada ta jest dobrą dla tych rodziców, którzy czytać i pisać sami umieją, ale co mówić o tych, którzy sami głosek nie znają? Jakaż to się tym ludziom krzywda dzieje! Podatek na szkołę płacić muszą, wszelkie ciężary państwowe ponosić muszą, a tu szkoła ich dzieciom tego wykształcenia nie daje, co powinna. Ale co najgorsze, że bywają nauczyciele co znęcają się i dokuczają polskiemu dziecku. Do tego czasu udzielano we wszystkich oddziałach religią po polsku, aż tu najakoby raz, piorun z pogodnego nieba, uderza wiadomość przyniesiona przez dzieci ze szkoły, że zaczęto udzielać w dwóch najwyższych oddziałach religię po niemiecku. To też oburzenie pomiędzy rodzicami na to rozporządzenie zrobiło się wielkie i nie dziw — bo cóż to — religia — najświętsze prawdy wiary, co to ma przejść w krew i serce dziecka — ta nauka miłości Boga i bliźniego, ten fundament, który całe życie dziecka ma podtrzymywać, to wszystko ma być w języku niezrozumiałym wykładane?

O, wy ludzie, co dusze dziecięce chcielibyście dla siebie zagarnąć! pamiętajcie, że i was kiedyś ręka karzącego Boga dosięgnąć może i że i wam, którzy sięgacie po najdroższe skarby, po religią i narodowość — ukaże się ręka, pisząca tak, jak królowi Nabuchodonozorowi straszne wyrazy: *Mene, Tekel, Fares!*

A ty, rodzicu polski, co teraz uczynisz? gdzie się udasz po obronę twego dziecka? Czy może tam do Berlina, do ministra? O nie chodź tam, boby ci jeszcze kazali w rękę pocałować się za to, że oni tacy życzliwi twemu dziecku, że mu się każą uczyć po niemiecku. Nie — tam nie pójdziemy, ale zwrócimy się gdzie indziej i to do Najp. Ks. Arcypastérza z prośbą, aby odjął nauczycielom pozwolenie nauczania religii — on ma prawo do tego i on może to zrobić. Boć jeżeli dziecko ma się męczyć i po niemiecku uczyć się religii, toć lepiej, że nauczycielom ten ciężar odjętym będzie, a niechby księżom wolno było udzielać religii i to nie w szkole tylko w kościele. Arcybiskup Ledóchowski tak sobie właśnie postąpił.

A teraz kiedy wam, Szanowni Rodacy, skreśliłem ten obraz położenia naszego, chciałbym się was, Bracia kochani, zapytać czy głos mój was przekonał? Czy przyrzekacie tylko polskich kupców i rzemieślników popierać, czy przeciwko nauczaniu religii św. w języku niemieckim protestujecie? Czy zgadzacie się, ażeby wysyłać prośby do Ks. Arcybiskupa, aby odjął nauczycielom prawo nauczania religii św.?

Widzę w was wszystkich jednego ducha i jeden zapał, więc w górę serca, zestrzelmy myśli nasze w jedno ogniwo i ramię do ramienia wszyscy, którzy się tylko Polakami nazywamy, czy to książę czy wyrobnik, czy szlachcic czy włościanin, ksiądz czy rzemieślnik - bo nas wszystkich jedna niedola gniecie — miłością bratnią serca nasze rozgrzejmy!

Śmiało stawmy czoło nieprzyjaciołom naszym. Niech oni ukują jeszcze drugie tyle praw przeciwko nam, nic nam nie zrobią, bośmy jednością silni! Niechaj nas rozpacz nie ogarnia, żeśmy ze wszystkich stron atakowani, bo i my mamy obronę w tej Maryi Częstochowskiej na Jasnej Górze. To Królowa nasza — Ją król polski Jan Kazimierz ukoronował na Królową korony polskiej — Ona się wstawi za ludem swoim, Ona ukróci cierpienia nasze i ku lepszej przyszłości nas doprowadzi. Ona, co Szwedów zniweczyła, zniweczy i hakatystów broniąc swego ludu.

Konieczny.

(Mowa, wypowiedziana w Gostyniu, a specyalnie dla „Pracy“ spisana.)

Wędrowny hakatyzm.

Bractwo trzech liter rozwija swą działalność na wielu polach; a jedną z wielostronnych jego działalności jest podburzanie opini publicznej w Niemczech przeciw Polakom za pomocą urządzania antypolskich odczytów.

Jak się ta podburzająca praca odbywa, przekonamy się z poniższych opisów wędrówki hakatystycznego mówcy.

A więc spotykamy go w stolicy Saksonii, w Dreźnie.

W pismach tamtejszych można było czytać w marcu anons o zebraniu i odczycie dra Bovenschena, zaczynający się od takich słów:

„Bürger Dresdens!

Weit über die östlichen Grenzen bis tief in das Innere unseres Vaterlandes

hinein schäumt die polnische Fluth, Jahr für Jahr weiter vorrückend.

Es scheint, als ob unserem Volke ein Gebiet verloren gehen sollte, viele Male grösser als Elsass-Lothringen, nicht etwa im Kriege, sondern mitten im tiefsten Frieden.

Unsere allerheiligste Pflicht ist es, mit vereinten Kräften das Vordringen des polnischen Volkes zu bekämpfen, vor Allem aber in diesem Kampfe unsern deutschen Brüdern im Osten beizustehen.“

Kilku czytelników naszego pisma dla skontrolowania kłamstw hakatystycznych udało się na owo zebranie i tak nam je opisują:

„Policyi nie było. O godzinie 8-mej zagaił radzca sądowy pan Schubert posiedzenie, prosząc zgromadzonych o powstanie z miejsc i wzniesienie okrzyku na cześć cesarza niemieckiego i króla saskiego, poczem wspomniał w krótkich słowach o zmarłym prezesie „*Ostmarkvereinu*“ jenerale v. Kusserow, przyczem zaznaczył, że do tego czasu jeszcze Towarzystwo nie ma nowego prezesa, albowiem nikt nie poczuwa się godnym do prowadzenia tak ważnego urzędu, przez co Towarzystwo w ostatnim czasie nic o sobie nie dało słyszeć. Następnie poprosił p. Bovenschena z Berlina, ażeby swój wykład rozpoczął.

Pan Bovenschen wszedłszy na estradę włożył ręce w spodnie i zaczął swój wykład mniej więcej temi słowy: „Szanowne Panie i Szanowni Panowie!

Zapewne niejeden pomyśli sobie siedząc tu w pięknem Dreznie, „co mnie tam polska sprawa obchodzi!“ — a jednak sprawa ta nietylko obchodzi Niemców tam zamieszkałych i nietylko Prusaków, ale jest ona sprawą życia lub śmierci dla całego ogółu niemieckiej ojczyzny.

Jak już państwu wiadomo, sprawa Polska na kongresie wiedeńskim załatwiona. — Niemcy (Prusy) nie wzięli sobie ani piędzi kraju więcej, niż tyle, ile ze względu strategicznego potrzebowali.*) Ówczesny król pruski Fryderyk III atoli porobił bardzo wiele przyrzeczeń i ustępstw Polakom, nie można go jednak za to ganić, ponieważ nie znał on jeszcze charakteru polskiego. Już feldmarszałek hr. Gneisenau, który 1830 r. był dowódzcą wojska pruskiego w Polsce, przyszedł do tego przekonania, że ta łagodna polityka względem Polaków jest niedobra. Na jego życzenie został v. Flottvell prezydentem Księstwa Poznańskiego i ten wypierał Polaków przez osadzanie niemieckich włościan. Gdyby ta praca przez niego rozpoczęta 5-go dziesięciolecia zeszłego wieku energicznie była przeprowadzona, nie mielibyśmy dzisiaj sprawy polskiej — i ja dzisiaj nie potrzebowałbym przed wami tu mówić. Ale niestety rząd pruski po wszystkie czasy nie potrafił się zastosować do energicznej polityki względem Polaków — i tak gdy przyszedł na tron Fryderyk IV. nastąpiła znów dla Polaków zmiana w polityce, — robiono na wszystkie strony ustępstwa, — bo spodziewano się przez to przerobić ich na lojalnych pruskich poddanych — ale wynik był ten, że w roku 1848 urządzali Polacy powstanie, które państwo pruskie do wielkich strat materyalnych przyprowadziło i dużo krwi niemieckiej popłynęło zanim zdołano powstanie stłumić.

*) Jacy skromni! Wzięli tylko tyle ile potrzebowali! Red.

Jednym z najważniejszych czynników w wzroście polskości jest fundusz utworzony przez polskiego adwokata Marcinkowskiego*), albowiem za pomocą niego powstał stan średni, który przedtem nigdy w Polsce nie istniał.

Z początku rząd nawet ową instytucyą popierał w ten sposób, że wszelkie przesyłki pocztowe szły bez opłaty; — ale wykazało się, że owi ludzie, którzy stypendya otrzymywali, później się przeciwko rządowi zwrócili, przeciwko temu rządowi, któremu swe wykształcenie mają do zawdzięczenia.**) Miasta, które przed 30 laty jeszcze były czysto niemieckie, dzisiaj są czysto polskie, — dzieje się to w ten sposób, że najpierw osiedla się lekarz polski, później adwokat, następnie rzemieślnik i robotnik polski, a gdy ich już jest dużo, wtedy robi ten polski stan średni niemieckiemu przemysłowi najgorszą konkurencyę. Nawet w samym Poznaniu, który w roku 1876 pomiędzy 100 rzemieślnikami nie posiadał ani jednego polskiego szklarza, liczono już w roku 1895 pomiędzy 100 rzemieślnikami 68 polskich. — Niektórzy Niemcy sami pomagają jeszcze Polakom w tej pracy, przez swą ospałość i brak narodowego poczucia, mianowicie panie niemieckie, które wolą u Polaka kupować; bo Polak w całem swem obejściu umie być nader uprzejmy. — Kto atoli Polaków pozna, ten wie, że te formy grzeczności nie są rezultatem lepszej jakiejś edukacyi, lecz powierzchownym polorem.

Co fundusze narodowe rozpoczęły, to duchowieństwo polskie dalej wypracowało i dokonało; stara się ono mianowicie pomiędzy niemiecką ludnością to mniemanie zakorzenić, że polskość a religia jest jednem i tem samem i tak naprzykład, gdy się dziś kogo spytasz, jakiej jest religii, odpowie że polskiej.***) Muszę tu państwu opowiedzieć, jak to niektórzy księża w dzieci to przekonanie wmawiają.

*) Stypendyaci Pom. Nauk. wiedzą teraz od dra Bovenschena komu mają być wdzięczni.

**) Pan Bovenschen zaś jest wyznania hakatystycznego.

***) Karol Marcinkowski za życia był lekarzem, dopiero teraz dzięki p. Bovenschenowi został adwokatem. Red.

Pewien ksiądz powiedział do pewnej dziewczynki: jeżeli się nie będziesz po polsku modliła, to cię nie będziemy konfirmowali.**) Nie dziw więc, że z czasem z niemieckich katolików robią się renegaci, i fanatyczni przedstawiciele polskości; w taki też to sposób Bambrzy, którzy pochodzą z Bawaryi, się spolszczyli, i dzisiaj tylko jeszcze swym strojem niemieckie pochodzenie zdradzają. Nawet nazwy swe niemieckie z czasem poprzekręcali na polskie, i tak n. p. z Hofmanna zrobili Hofmański, z Schmidta Szmyt i t. d. — Pruski minister oświaty wykazał przez statystykę, że przez brak nabożeństw niemieckich w 3 polskich miastach w ciągu 10 lat z pomiędzy 1297 niem. kat. 13 tylko zachowało swoją niemiecką narodowość.*) Wielki błąd popełnił rząd pruski, że urząd arcybiskupi powierzył w ręce Polaka, który jako poseł w sejmie swoje zapatrywania polityczne nieraz wypowiedział! Lud polski uważa arcybiskupa jako prymasa Królestwa Polskiego, i nawet sam arcybiskup za takowego się uważa. Za czasów polskich w czasie bezkrólewia prymas zastępował króla tak długo, aż nowy król nie został obrany. W czasie wizytacyi kościelnych w archidyecezyi towarzyszyła mu wszędzie kalwakada z 100 jezdzców w narodowych kostyumach, których dostarczył polski teatr w Poznaniu.*) W najgorszy sposób na niekorzyść niemieckości działają Towarzystwa Polskie, które nietylko na kresach wschodnich są pozakładane, ale wszędzie, gdzie tylko są Polacy, i tak w Berlinie ich jest najwięcej, tak że na ulicy po polsku się słyszy rozmowę. Jednym z najważniejszych faktorów w wzroście polskości jest prasa polska, która dziś jest i w Berlinie i w Bochum, a która za pomocą wolności prasowej może bezkarnie w najgorszy sposób bryzgać jadem na wszystko, co jest niemieckie. Polacy nigdy nie byli lojalnymi poddanymi i zawsze dążyli i dążą do oderwania się od Prus i utworzenia nowego Królestwa od Mysłowic aż do morza. Pamiętam, że w czasie wojny francuzkiej spodziewali się, że na gruzach Niemiec przy pomocy Francyi Polskę odbudować będą mogli, a gdy jedna wieść po drugiej zwycięztwa z bojowisk głosiła, wtedy Polacy się nawet w żałobę dla Francyi ubierali. Pamiętam ja to bardzo dobrze, gdyż będąc jeszcze chłopcem, widziałem jak

*) Dziwna rzecz że pan Bovenschen się jeszcze nie spolszczył!

*) Mały bziczek, panie Bovenschen!

**) Najoczywistszy fałsz — bo katolicy żadnej konfirmacyi nie mają.

rodacy nasi w mojem rodzinnem mieście iluminowali, a w domach polskich było ciemno. Byłem wtedy jeszcze małym chłopcem, ale już miałem tyle poczucia w sobie, że to jest prowokacya, ... I dziś Polacy wiedzą bardzo dobrze, że się tam na kresach wschodnich kiedyś rozstrzygną losy Niemców i przyjdzie do wojny, dlatego tak się energicznie krzątają, ażeby wszystko spolszczyć.

W okolicach Gdańska zamieszkali Kaszubi. Jest to naród, który nigdy nic nie miał wspólnego z Polakami jak to historya wykazuje, a nawet mowa nic nie ma podobieństwa z polską. Chcą Polacy i tych spolszczyć, a są widoki, że im się to uda, bo przy ostatnim spisie ludności przekreślali Kaszubi rubrykę „kaschubisch,“ a podkreślali „polnisch.“ Jest to wynik agitacyi, którą kilka tygodni przedtem przez duchowieństwo i prasę polską prowadzono.*) Gdy się Polakom uda nasz stan średni wyprzeć, a my tylko tam mieć będziemy oficerów i urzędników, wtedy prowincye te na zawsze dla nas będą zgubione, a w czasie wojny może to dla nas być bardzo korzystnem i spowodować ruinę Prus. — Rząd niemiecki, jak już powiedziałem, za mało dokłada ręki do wzmocnienia niemieckości na tamtejszych kresach, utworzono wprawdzie komisyą kolonizacyjną, która atoli ma ciężką walkę z podobnemi instytucyami utworzonemi przez Polaków. Polakom dziś nic nie jest za drogie, płacą za rolę tak wygórowane ceny, że nie odpowiadają wcale rzeczywistej wartości ziemi; pochodzi to ztąd, że Polacy dziś mają pieniędzy jak siana (*wie Heu*).

Aż 3 ministrów pruskich zjechało się do Poznania, by się naradzić nad tem, co zrobić dla podniesienia niemieckości, mówiono dużo, ale wszystko tylko były czcze słowa, a czynu nie widać. Uchwalono wybudować Bibliotekę niemiecką, w której będą i polskie dzieła umieszczone, a galeryę obrazów Polacy też sobie obejrzeć mogą, to ich przecie nie zniemczy. Polacy mają dwie ojczyzny, jedną polityczną, a nią jest ich prowincya, a drugą zarobkową, a nią jest całe państwo niemieckie. Oprócz rzemieślników zalewają rok rocznie tysiące robotników kraje niemieckie, — a dokądkolwiek przybędą, tam żądają polskich księży, polskich kupców itd. W niektórych stronach nad Renem i w Westfalii już dzisiaj nawet szyldy polskie są powywieszane, w gazetach czytamy ogłoszenia, gdzie poszukują subjektów obydwoma językami mówiących. A cóż się dzieje z temi pieniędzmi, co tam zarobią? Otóż posyłają je do polskich banków lub krewnych, i za te pieniądze zarobione na ziemi niemieckiej, od niemieckiego chlebodawcy wykupuje się potem tam niemiecką ziemię na kresach wschodnich, tę ziemię, którą już kilka set lat przedtem niemieccy pionierzy przez swą inteligencyą zdobyli. Takie posyłanie pieniędzy niemieckich powinno być wzbronione.

Jak dawną jest kultura niemiecka na kresach wschodnich wykazuje ten fakt, że w 15 stuleciu wszystkie akta były pisane w niemieckim języku, co można widzieć w archiwum w Krakowie*).

Pod naciskiem takich stosunków utworzyło się nasze Towarzystwo, zachęcone przedtem przez żelaznego księcia w Friedrichsruhe, które wzięło sobie za zadanie swoim rodakom być pomocnem. A przedewszystkrem jest zadaniem naszem rząd pruski pobudzać, ażeby tak ważnej sprawy nie zasypiał. Staramy się o to, ażeby się wszędzie osiadali niemieccy lekarze, adwokaci i kupcy i rzemieślnicy i udzielamy im subwencyi, ażeby mogli z polskimi konkurować. — Ale siły nasze są za słabe; zadaniem zatem każdego Niemca jest nas w tej sprawie popierać w sposób moralny i materyalny.

Ale niestety rodacy nasi nie pojmują jeszcze tej kwestyi tak jakby to być powinno, statystyka wykazuje, że wydajemy rocznie 3 miliony na piwo, gdyby te pieniądze obrócono na wyżej wspomniany cel, coby to za zbawienne przyniosło owoce. U Polaków inaczej, tam naród zaledwie 3 milionowy składa rocznie 4 milijony na cele narodowe.

Jest to dla nas zawstydzającem, a pochodzi to ztąd, że księża polscy wszędzie pozakładali Towarzystwa wstrzemięźliwości.*) Dawniej robotnik polski lubił pić wódkę, dziś tego nie robi, bo się odprzysiągł przed księdzem; dzisiaj nasze pojęcie o polskiej gospodarce (*Polnische Wirtschaft*) upada. Dziś można się wiele od Polaków nauczyć.

Widzicie więc szan. Panie i Panowie jak niebezpieczną dla nas jest kwestya polska, przeto powinien każdy Niemiec łączyć się w nasze Towarzystwo, a wtedy nastąpią dla niemieckości na kresach wschodnich „inne lepsze czasy.“ Na tem się posiedzenie skończyło.

Aby dać próbkę tego, jak wytrwale związek hakatystyczny agituje przeciwko nam w Niemczech, nie poprzestając na powyższym referacie, podążmy za panem Bovenschenem z Drezna — aż na Zieloną Górę, na Śląsk i posłuchajmy relacyi innego naszego przyjaciela, który o agitatorze hakatystycznym tak nam pisze:

Zebranie hakatystów zagaił tutejszy fizyk powiatowy dr. Erbkam i udzielił głosu p. dr. Bovenschen, rodem z Ostrowa. Mówca podziękował zebranym, iż tak licznie się zgromadzili. (Było ich ogółem ze czterdziestu.) Naturalnie Niemcy składali się po większej części z samych urzędników królewskich, nauczycieli, sędziów, asesorów, kontrolerów podatkowych i t. d.

Mówca zaczął od tego, że oświadczył, iż będzie się musiał w mowie trochę ograniczyć, ponieważ się stawili i tu także Polacy, którzy by go potem w polskich gazetach opisali. (Może jako kłamczucha — przyp. Red.)

W pierwszym rzędzie przedstawił gospodarstwo polskie. Podług p. Bovenschena pierwszej uprawy roli nauczyli Niemcy Polaków, za co się Polacy złem odpłacili; Polacy ściągnęli Niemców zamożnych do swego kraju, aby podnieśli uprawę roli. Polacy nie umieli gospodarować, a Niemcy tak im podnieśli rolnictwo, iż ta morga roli, która nie przyniesie 1 marki korzyści, przyniosła już po pierwszym roku niemieckiej gospodarki od 80 do 160 marek. Dzisiaj co do gospodarstwa nie można Polakom niczego zarzucić; są pracowici, oszczędni i trzeźwi. Że dzisiaj na stolicy arcybiskupiej, czysto niemieckiej, zasiada Polak, jest to największem nieszczęściem dla Prus. Jest to prawdziwa Sadowa dla Prusaków, owa chwila, gdy ów Polak zasiadał na stolicy arcybisknpiej... Gdy po śmierci Dindera zwiedzał pewien pan niemiecki pałac arcybiskupi i wszedł także do sali, w której się znajdują pamiątki i portrety arcybiskupów poznańskich, znalazł tam portrety wszystkich umieszczone na ścianach, aż do hr. Ledóchowskiego, który teraz jest kardynałem w Rzymie. Gdy się zapytał oprowadzającego go szwajcara, o portret Dindera, ten tylko wzruszył ramionami i odpowiedział, iż portret ten jeszcze nie wykończony. Tak, moi Panowie, dzieje się z Niemcami w Poznańskiem! Po wojnie francuskiej, gdy Napoleona wzięli pod Sedanem Niemcy do niewoli, Polki przywdziały na siebie grubą żałobę i Polacy żałowali go więcej jak Francuzi, bo Polacy spodziewali się upadku Niemiec i oderwania się od Prus. Gdy zaś obchodziliśmy rocznicę Sedanu i w całem mieście iluminowano, to w polskich oknach zupełnie ciemno było, jakby tam nikt nie mieszkał (aj, aj, aj!)

Nakoniec zachęcał mówca niemieckich patryotów, iż ponieważ rząd robi ustępstwa Polakom, tem więcej powinni oni się zająć tą sprawą, aby uniknąć grożącego im niebezpieczeństwa.

* * *

Podalismy tu obydwa referaty naszych czytelników potrosze dla rozrywki, potrosze dla nauki.

Kłamstwa hakatystyczne tak systematycznie prowadzone, nie mogą opanować całej opinii publicznej Niemiec. Niechaj to nam będzie nauką i przestro-

*) Kaszubi są Polakami. A zresztą cóż ze ślepym gadać o kolorach!

*) Więc Kraków też jest niemieckiem miastem?

*) To się hakatystom też niepodoba.

gą, że tylko na własne siły liczyć możemy i że nietylko system germanizacyjny wypowiada nam walkę na życie i śmierć, ale że to samo czyni społeczeństwo pruskie. Brońmy się też jawnie, wytrwale i solidarnie. *J. M.*

Wady naszych towarzystw
na obczyźuie.

(Artykuł nadesłany z Westfalii).

Jako wypróbowany przyjaciel „Pracy“ sądzę, że „Praca“ mi nie odmówi w swych łamach miejsca; namyśliłem się dobrze nad poniższymi punktami i jestem zniewolony publicznie w tej sprawie głos zabrać. A że „Praca“ cieszy się wielką sympatyą pomiędzy rodakami tu na obczyźnie, bo z dniem prawie każdym przybywają nowi szermierze pod jej sztandar, więc i pożytek jakiś z mych uwag będzie.

Pierwszym wielkim grzechem naszym jest to, że prawie cały majątek towarzyski łożymy na bardzo drogie chorągwie; przechodzi to bowiem nietylko czasem prawie zawsze nasze siły; na każdem prawie zebraniu bywają składki na ten cel zbierane, a jeśli buduje się kościół w miejscowości (co się bardzo często zdarza), to idą składki na składki, tak Polacy są często nawiedzani przez kolektorów zarówno polskich jak i niemieckich.

Nieraz ma Tow. swój własny dług a buduje to ołtarz, to okno lub coś podobnego, choć cena niekiedy przechodzi ponad tysiąc mk. A jeszcze i na tem nie koniec; przez porozumienie pomiędzy księżmi jedna budująca parafia w drugiej kolektuje, więc i najlepszym się to uprzykszy. Otóż mam tu jedno pytanie dlaczego nasze Towarzystwa tyle ciężaru na swe barki podejmuje mając we własnym domu dużo pracy? Czyż to koniecznie muszą tylko być chorągwie od 500 do 1000 i więcej marek? Czyby w ich miejsce zastąpić nie mogły tańsze chorągwie a pieniądz zbywający użyć na cele oświaty? Mówią jednakże, że to na chwałę Bożą a nie patrzą jak niechętnie ludzie dają, bo i to prawda, że co za wiele to niezdrowo.

Tu w sąsiedztwie sprawiło sobie Towarzystwo chorągiew piękną i wspaniałą, która naturalnie marek tylko tysiąc przechodzi (nie wiem czy już wypłacona), do rozwoju tegoż Tow. przyczynił się ks. wikary, zabaw oraz pochodów nie popiera tylko koncert. Dlatego tow. uznając wyłącznie jego pracę, około swego rozwoju. Towarzystwo wyprawiło na cześć ks. wikarego w roku zeszłym na imieniny koncert. Dobrze by było, gdybyśmy też pomiędzy nami mieli kapitalistów, ale tych tu nie ma, a my robotnicy składając grosz do grosza życzylibyśmy, aby Zarządy z większą rozwagą, zastanowiły się nad tem, co chcą uczynić z pieniędzmi z kasy towarzyskiej.

Drugim grzechem naszym jest to, że za wiele zabaw urządzamy, naprzód „Rocznice“, a potem prawie co 3 miesiące bal. Nie pora to na zbytek zabaw w tych tak smutnych czasach, gdy jesteśmy uciskani przez hakatystów a także w szkole a nawet i niejedni księża starają się nas zgermanizować, wszędzie nawet w kopalniach nas uciskają i gdzie nas tylko dostać mogą. A my ten ciężki pieniądz mamy dawać na wojtostwo za pozwolenie przechodzące czasem marek 20 za bal?

Czyżby nie było lepiej z 4 zabaw zrobić jednę? A jeżeli w miejscu są 2 Tow. czyby nie lepiej było, aby się porozumieli i zrobili wspólną zabawę, a mogę Szanowne Tow. zapewnić, że miałyby więcej korzyści. I mógłbym tysiącem faktów udowodnić, że przez te bale niejeden młodzieniec chybi swojej sprawie, bo on już nie patrzy na polski bal, ale idzie na jaki mu się zdarzy, a nawet na żydowski. — A na ulicy to nawet z bratem nie będzie mówił po polsku, to są skutki balów, a to mogę udowodnić po tysiąc razy.

Tymczasem teraz latem powinniśmy Rodacy wziąść się do dzieła i na wzór komitetów, jakie już istnieją w Bochum, i jak słyszałem w Ueckendorfie i w Habingshorst w każdej miejscowości powinien być taki komitet, który by się zajął zabawami ludowemi i także dziatwą naszą, a zimą urządzać wieczornice, na wzór mogę wskazać Essen; 21 maja odbył się na sali p. Müllera koncert, deklamacya, śpiewy, a na końcu były przedstawione obrazy świetlane (latarnia magika). Towarzystwa nasze bardzo mało pracują nad oświatą, bardzo rzadko się słyszy choć jaki taki wykład, a w niektórych wcale ich niema i są w letargu. Gdyby zarządy Towarzystw

1. zamiast tak drogich i kosztownych chorągwi kupować,
2. zamiast tysiąc marek łożyć na budowę niemieckich kościołów,
3. zamiast robić niepotrzebne koncerta i wyrzucać na urządzenie tylu i tylu zabaw do roku,

możnaby stworzyć fundusz, z którego najprzód moglibyśmy od czasu do czasu sprowadzić księdza polskiego, któryby dla nas odprawił mszę św., po drugie mogłyby Towarzystwa zakupić każdego roku za 10 do 20 marek broszurek ludowej treści jak: Staszyca, Mickiewicza i rozdać je bezpłatnie, a tym sposobem Towarzystwa krok naprzód by poszły i zbudowałyby sobie wieczysty pomnik.

Niejednemu Towarzystwu to nawet nie starczy na abonowanie jednej gazety, a jak już abonuje jeden numer, to myślą, że dla oświaty bardzo wiele zdziałało. Towarzystwo powinno co najmniej z pięć egzemplarzy num. „Pracy“ dla swych członków zapisać, aby ci członkowie pomału się zachęcili do czytania dobrych i zdrowych pism. Ale na gazety i na broszurki nie ma pieniędzy, ale balów i koncertów mamy aż zanadto; a gdyby nie było to się zrobi składkę a członkowie dorzucą. Szanowne Towarzystwa tu na obczyźnie, proszę także szanowne Zarządy jak i wszystkich dobrze myślących członków i rodaków nad tą kwestyą się cokolwiek zastanowić i ten krok w Towarzystwach poczynić.

A teraz trzeba koniecznie najpierw dom własny oczyścić, po pierwsze z „blatów“ aby nie szpeciły naszych ścian, powtóre, aby żony tj. zawsze i wszędzie po polsku tak do dzieci jak i do starszych tj. Polka z Polką tylko w ojczystym swoim języku — polskim rozmawiały.

Gorycz mnie przejmuje, gdy widzę, że te dziewczęta bez poczucia narodowego mają być matkami i mają nam wychować to młode pokolenie, na takich Polaków jak my. Z drugiej strony, gdy ujrzę małą dziatwę deklamującą lub śpiewającą narodowe piosenki, to sobie pomyślę: „*dzielni rodzice*“ a i z tej dziatwy zostaną Polacy. Do pracy i oświaty. Towarzystwa polskie na obczyźnie nie żałujcie na ten cel pieniędzy!

St. K.

Z TYGODNIA.

Wakacye letnie są nieuniknioną koniecznością nie tylko w szkołach, ale i w parlamentach. Gdy kanikularne upały obezwładnią do reszty umysły zmęczone całorocznem natężeniem w jednym kierunku, zdenerwowane całoroczną grą namiętności politycznych; gdy nadejdzie okres najważniejszych zajęć dla rolników, z pomiędzy których rekrutuje się większa część członków reprezentacyi narodowej, — żadna siła ludzka nie zdołałaby utrzymać w salach posiedzeń ciał prawodawczych kompletu posłów, potrzebnego do prawomocności uchwał.

To też wszystkie już niemal parlamenty europejskie rozpuściły do domów swoich członków, albo ich lada chwila rozpuszczą. A że i panowie ministrowie,

i wogóle członkowie rządu są ludźmi, a zatem potrzebują od czasu do czasu chwili wytchnienia, więc i oni rozjeżdżają się gdzie który może, gdzie ich pociągają: nadzieja wypoczynku, uczucia, albo interesa osobiste. *Saison morte*, pora ogórkowa rozciąga swoje ociężałe ramiona ponad światem politycznym i obejmuje go w swój uścisk usypiający. Następuje pora *dolce far niente* dla ludzi „robiących" politykę, a kłopotów dla piszących o niej.

Parlamentem, który tego roku najbardziej pospieszył się z zamknięciem swoich podwoi, był parlament francuzki, gdyż na tydzień przed zwykłym terminem dał urlop swoim członkom na całe lato. Leżało to w interesie gabinetu p. Waldecka Rousseau, gdyż przyjaciele jego socyaliści, stanowiący jedyne na świecie stronnictwo socyalistyczne rządowe, poczęli mu wyrastać ponad głowę, a nawet ponad głowy własnych swych w rządzie reprezentantów. Trzeba było choć na chwilę odczepić się od tych niewygodnych, ba! niebezpiecznych popleczników, odetchnąć od nich, i spokojniej namyśleć się nad tem: co dalej.

Zaszła już była potrzeba przywołania trochę do porządku zbyt zapalonych profesorów-socyalistów, a teraz zanosi się na coś gorszego. Związek robotniczy górników nietylko zapowiedział bezrobocie na dzień 1 listopada, ale oświadczył się za ogólnem miedzynarodowem bezrobociem górniczem, jeśli właściciele kopalń nie poddadzą się warunkom przez syndykat ustanowionym. I nie dość na tem: związek ten nie zawahał się zażądać, aby rząd w drodze dyplomatycznej postarał się o ustanowienie międzynarodowego minimum płacy robotników górniczych.

Naturalnie, żaden rząd na takie postulaty zgodzić się nie może; ale pytanie co poczną socyaliści wobec odmowy. Jest nad czem głowy sobie nałamać i obmyśleć postawę swoją wobec wszelkiej ewentualności.

Ustawa o kongregacyach zawiodła obie strony najbardziej w niej interesowane. Liczono na to, że Stolica Apostolska stanowczo się przeciw tej ustawie oświadczy. W sferach radykalnych i socyalistycznych spodziewano się, że to doprowadzi rząd do zupełnego z Watykanem zerwania. W sferach klerykalnych natomiast miano nadzieję, iż sprzeczność ta wywoła powszechne oburzenie w narodzie, które zgruchocze rząd żydowsko-socyalistyczny. Tymczasem decyzya w Watykanie wypadła pośrednio: Ojciec święty potępił wprawdzie wszystkie przepisy ustawy, ale dla uchronienia na razie zakonów we Francyi od zupełnej zatraty, pozwolił im zgłaszać się do rządu z podaniami o upoważnienie dalszego ich istnienia. Od tego, jak rząd zachowa się względem tych podań, zależeć będzie prawdopodobnie dalsza postawa Stolicy Apostolskiej w tej sprawie.

Anglia szczególne w tej chwili przedstawia widowisko, na które tutaj zwracamy tylko uwagę. Podczas gdy w całej niemal Europie waga stosunków społecznych i politycznych przesuwa się coraz bardziej od prawej strony ku lewej; podczas gdy stronnictwa lewicy, nawet skrajnej, zyskują coraz więcej znaczenia, a w niektórych krajach dochodzą nawet do władzy, w Anglii wielkie niegdyś stronnictwo liberalne bankrutuje z kretesem, a żywioły zachowawcze, pod sztandarem imperyalizmu, zdobywają władzę prawie absolutną. I tak zazdrosny niegdyś o swoje swobody naród angielski, ugina karku pod brutalną energią człowieka, który dzięki swojej dzikiej niemal bezwzględności pochwycił w swoje ręce ster tego ruchu imperyalistycznego, a do którego nazwiska — rzecz charakterystyczna — przylgnęło już przezwisko „Nerona angielskiego." Mówimy tu naturalnie o Chamberlainie.

K. O.

Przegląd prasy.

Aby uzupełnić lukę w naszym przeglądzie polityki bieżącej, mianowicie z pola rozgrywającej się obecnie w Francyi walki rządu republikańskiego przeciw zakonom i duchownym, podajemy poniżej interesujący artykuł warszawskiego **„Wieku"** o stanowisku Ojca św. w tej sprawie:

„Jak łatwo można było przewidzieć, Ojciec św. nie mógł pozostać bez protestu uchwały parlamentu francuzkiego kasującej majątek. W tej mierze omyliły rząd p. Waldecka Rousseau nadzieje za zupełne przemilczenie przez Watykan sprawy, jednakże ton protestu jest względnie łagodny i poważny, jak przystoi aktowi Stolicy Apostolskiej. Jest to mianowicie okólnik z daty 20 czerwca do przełożonych zakonów we Francyi, a zdaje się, że nota dyplomatyczna Watykanu ma treść podobną.

„Okólnik Ojca św. zaznacza na początku, że zwłaszcza w epoce zaciętych walk, jak obecnie, potrzebna jest szczególna i pełna miłości troskliwość Stolicy św. dla zakonów. Ojca św. dotknęły boleśnie bezwzględność i ucisk, których doznały niedawno zakony i instytucye duchowne ze strony niektórych narodów. Pomijając już to, że naruszono dotkliwie prawa Kościoła, ucisk taki przynosi wielką szkodę ich humanitarnej działalności. Kto atakuje kapłanów i zakonników, atakuje źrenicę oka Kościoła. Ojciec św. przypomina dalej, że nie pominął niczego, by zapobiedz tak niegodziwemu prześladowaniu i by owe narody ustrzedz przed tak grożnem niebezpieczeństwem.

„Ale nadaremnie spodziewaliśmy się, że skargi nasze znajdą posłuch." Właśnie w ostatnich dniach, naród odznaczający się wybitnie duchem religijnym, naród, któremu Stolica św. objawiała szczególne względy, wprowadził ustawy wyjątkowe, przed któremi ostrzegał Papież przed kilku miesiącami. W imię swego obowiązku, za przykładem swych świetnych poprzedników, Ojciec św. uroczyście potępia te ustawy, sprzeczne z prawem naturalnem i ewangelicznem, sprzeczne z całą tradycyą.

„Ustawy te naruszają także bezwzględne prawo Kościoła do zakładania instytucyi religijnych, przeznaczonych wyłącznie do bronienia Kościoła. Prawdziwą pobudką wydania tych ustaw jest nienawiść ku Kościołowi, ich istotnym celem jest, pozbawić społeczeństwo ożywczego działania Chrystusa. Papież wyraża przytem zakonnikom męzkim i żeńskim pochwałę, podnosi, że prześladowani są właśnie za swe cnoty i wskazuje na znaczną liczbę instytucyi, powołanych do życia przez zakonników, a powszechnie błogosławionych przez wszystkich dobrych obywateli. Przedewszystkiem podnosi Ojciec św. wielkie zasługi gmin chrześcijańskich, które tak gorliwie spełniają jego życzenia, nawet za cenę niezmiernych cierpień i życia, jak się to działo ostatniemi czasy w Chinach. By wzmocnić zakonników w ich odwadze, podnosi Ojciec św., że nawet pośród najwybitniejszych osobistości stulecia nie brakło mężów bezstronnych, którzy nie wahali się, pochwalić dzieła zakonników oraz bronić ich praw obywatelskich i jeszcze cenniejszej wolności ich, jako katolików.

„Jeśli Bóg spuszcza te cierpienia, czyni to, aby nowe siły wlać w dusze wiernych, które w poprzednim spokoju częstokroć słabną." Ojciec św. wzywa dlatego zakonników, by zdwoili swój zapał w życiu, w wierze, w modlitwach i świętych czynach. „Oby byli pomni tych przykładów, które im pozostawili ich poprzednicy z czasów równie smutnych, jak obecne."

Słowa i wystąpienie powyższe Ojca św i nas błogą otuchą napełniają, że w zatargu władzy naszej duchownej z rządem pruskim o prawa ludności katolickiej, Watykan nie poskąpiłby Swej opieki i pomocy.

Czytelnicy zapewne już wiedzą skądinąd o wyniku obrad komitetów wyborczych polskich w sprawie wyborów w Duisburgu. Jak niegdyś w sprawie wyboru uzupełniającego po ś. p. prezesie Mottym zwyciężyło zdanie „Pracy", która pierwsza wysunęła kandydaturę pana Bernarda Chrzanowskiego, tak i teraz artykuł nasz, ogłoszony przed miesiącem, pobudził do pracy, wywołał żywą dyskusyę, przeszedł obronną ręką przez ostrza krytycznej oceny i wypłynął hen w Westfalii i Nadrenii *jako fakt:* postawiono na kandydata ze strony Polaków czcigodnego i zasłużonego męża, posła Leona Czarlińskiego z Torunia. Nie pomieszczamy żadnej odezwy wyborczej, byłaby ona bowiem spóźnioną, — wybory odbyły się 25 lipca. Jeszcze nie wiadomo ile głosów padło na Polaka.

Ale teraz słówko do Górnego Ślązka: Czy wam, bracia z Górnego Śląskiego, gdzie ludu polskiego miejscami więcej

niż w Księstwie, nie wstyd, że głosujecie na posła Niemca, gdy wasi rodacy nad Renem prędzej się od was ocucili i głosują na swego?

Dziwnie to doprawdy i błogo czytać było w „Katoliku“ na samem czele piękną odezwę Polaków z Nadrenii! — a myśl mimowoli zwraca się ku tym chwilom, gdy na tem samem miejscu, na czele numeru, pojawią się odezwy, zachęcające do wyboru Polaków na Slązku. Czy to nastąpi?

W „Katoliku“ czytamy:

„Polskiej inteligencyi kupiecko-przemysłowej nie dochowaliśmy, nie dorobiliśmy się dotąd na naszym polskim Górnym Slązku, bo tych kilku kupców i przemysłowców Polaków, których mamy, nie może wchodzić wcale w rachubę w obec kapitałów niemieckich i żydowskich wobec ogromnej konkurencyi niemiecko-żydowskiej. Ludność polska uskuteczniać musi swoje zakupna i zapotrzebowania u kupców i przemysłowców nie Polaków i zostawia w tych sklepach rocznie całe miliony, na które ciężko pracować musi.

„Stosunki obecne są tego rodzaju, że w pierwszej linii ludność polska ma obowiązek narodowy popierać swoich kupców i przemysłowców, o ile oni są. Ten obowiązek zawarunkowany jest trudnem naszem położeniem. — Chodzi przecież o to, aby społeczeństwo polskie, wyzyskiwane już i tak przez kapitały niemieckie i żydowskie, pod względem dobrobytu postępowało ciągle naprzód, a nie szło w dół. Nikt nam nie dopomoże, jeżeli sami sobie nie dopomożemy. Urzędy są dla nas Polaków prawie wszędzie zamknięte, rozmaite gałęzie zarobkowawania uszczuplone i ograniczone. Pozostał nam więc tylko handel i przemysł, który popierać winniśmy wszelkiemi siłami, tem więcej, że HKTyści głoszą nam na całej linii bojkot to jest ogłodzenie polskiego kupca i przemysłowca. Im chodzi o to, żeby społeczeństwo polskie było jak najuboższe, żeby nie dorabiało się, ale ubożało. Więc gdzie jest kupiec i przemysłowiec polski, tam zniszczyć go trzeba, a gdzie robotnik polski ma lepszy zarobek, tam ten zarobek zmniejszyć, uszczuplić należy. To jest cel, to dążenie naszych HKTystów, którzy się wcale z tem nie tają. Wobec tego my Polacy musimy się wzajemnie popierać. Popieranie swoich jest wprost związane z naszym bytem, z naszem istnieniem, z naszem podniesieniem i dźwiganiem się pod względem dorobku materyalnego.

„Ponieważ jednak u nas na Górnym Slązku nie mamy jeszcze poddostatkiem składów polskich, gdziebyśmy nasze zakupna uskuteczniać mogli, więc jesteśmy wskazani na to, żeby je uskuteczniać w sklepach nie polskich. W tych sklepach mówmy przynajmniej po polsku i posługujmy się naszym polskim językiem ojczystym. Zanosimy do tych sklepów rocznie całe miliony, więc mamy prawo żądać, żeby nasz język polski tam szanowano i żeby się liczono, rachowano z klientelą, publicznością polską. Gdzie po polsku nie umieją, gdzie nie chcą mówić po polsku, tam widocznie wieje duch haktystyczny i dlatego takie sklepy pomijajmy.

O posądzeniu hr. Gołuchowskiego przez prasę niemiecką, że inspiruje artykuły w naszem piśmie, pisze „Kuryer Poznański“:

„Ważnego odkrycia dokonała „Danziger Ztg.“, która donosi ni mniej ni więcej, że hr. Gołuchowski, austryacki minister spraw zagranicznych, inspiruje artykuły w „Pracy“. Wykombinowała to w ten sposób, że dr. Rakowski pisujący rzekomo artykuły pod pseudonimem Vestera po wydaleniu go z Prus otrzymał posadę sekretarza w wydziale krajowym w Galicyi, co tylko mogło się stać za wstawieniem hr. Gołuchowskiego!

„Berlińska „Deutsche Ztg. uważa to za rzecz bardzo prawdopodobną, bo tylko tym sposobem wytłomaczyć może sobie częste rewizye w „Pracy“. Według „Deutsche Ztg.“ policya poznańska usiłuje pochwycić manuskrypt „Vestera,“ aby mieć w ręku dowód, kompromitujący austryackiego męża stanu.“

My zaś dodamy: „ale to się jej nie uda.“ M. B.

Głosy od Przyjaciół.

Z Bydgoszczy.

Szanowna „Praco!“

Historya naszej przeszłości przedstawia często rażące kontrasty: z jednej strony bohaterskie męztwo, bezgraniczne poświęcenie dla dobra Ojczyzny, z drugiej strony ciasne samolubstwo i brak poczucia obowiązków obywatelskich. Dzisiejszy stan społeczeństwa naszego składa się również z jaskrawych sprzeczności. Lepsza jego część, to według słów poety owe „świetniejsze duchy, co jak żurawie w łańcuch prowadzą — wylatują przodem“, co zawsze stoją w pogotowiu, gdzie chodzi o dobro ogólne, o manifestacyę uczuć narodowych, — owe duchy ofiarne, co pracę swoją, czas i mienie składają na ołtarzu Ojczyzny. Tej to lepszej części naszego społeczeństwa zawdzięczamy inicyatywę samopomocy i pierwsze kroki w tym kierunku, ona też — ufajmy — nie pozwoli upaść tej sprawie naglącej, na wskroś żywotnej, od której zawisła przyszłość młodszych pokoleń.

Druga zaś — niestety liczebnie poważna część naszego narodu wobec tych szlachetnych wysiłków zachowuje się biernie i obojętnie. Ojciec Polak przy lada sposobności występuje jako dzielny patyota — w słowach, ale obojętnie słucha i patrzy, jak dzieci jego mówią po niemiecku, korespondują ze sobą po niemiecku, jak wzrastają w zupełnej nieświadomości języka ojczystego, historyi, piśmiennictwa i tradycyi narodowych. — Mam tu na myśli rodziny inteligentniejsze, a więc urzędników, kupców i zamożniejszych przemysłowców, słowem ludzi, którzy umysłowo i moralnie są do tego stopnia wykształceni, że mogliby z łatwością, z małym wysiłkiem woli, małą ofiarą czasu i osobistej wygody przyswoić dzieciom naukę czytania i ważniejszych wypadków z historyi. Godzinkę czasu ujmuj, kochana matko, wizytom, pogawędkom, a może czytaniu lichych romansów i daruj ją dzieciom swoim, aby je wychować na Polaków. Godzinkę czasu, kochany ojcze, poświęć dzieciom, tego czasu, który tracisz przy kieliszku i kartach, w wesołem towarzystwie, posłuchaj, jak najmłodsze powie ci wierszyk, starsze coś przeczyta — a spełnisz uczciwie obowiązek ojcowski i obywatelski. Te małe ofiary, ta odrobina pracy, bogate ci w przyszłości przyniosą owoce.

Zacznijmy więc samopomoc każdy w swej rodzinie, od dzieci własnych, starsze rodzeństwo niech niesie pomoc młodszemu, dorosła panienka dzieciom biednym, których nie ma kto uczyć — samopomoc jest dzisiaj obowiązkiem, od którego nikt się uchylać nie powinien.

Dzieje pierwszych czasów chrześcijaństwa opowiadają nam o kilku męczennikach, którzy pomimo, że na rozkaz okrutnego prefekta języki im wyrwano, cudownie bez języków mówili.

Idźmy za przykładem owych bohaterów chrześcijańskich. Nie przestajmy mówić językiem ojczystym na obronę naszą! *M. G.*

* * *

Altenessen (Nadrenia.)

Kochana „Praco!“

Najprzód pozdrawiam kochaną „Pracę“ starem polskiem pozdrowieniem: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Jestem stałym czytelnikiem kochanej „Pracy“ od dawnego czasu a teraz przyjechałem na obczyznę, to się staram wszelkiemi sposobami, aby kochaną „Pracę“ jak najprędzej rozpowszechnić, bo widzę jak wiele dobrego dla nas kochana „Praca“ czyni i jak wiele ofiar dla nas ponosi. Kochana „Praco!“ Niech Cię te wszystkie procesy nie zrażają, bo my zawsze przy Tobie stale stoimy, bo kiepski ten przyjaciel, co swego przyjaciela w ciężkiej niedoli opuszcza. Tak też, kochani czytelnicy, starajcie się wszelkiemi sposobami, ażeby każdy choć jednego nowego czytelnika zjednał, a to będzie najlepszą nagrodą za wszystkie trudy, które kochana „Praca“ dla nas ponosi. Jest dużo Polaków na obczyźnie, którzy żadnego pisma nie czytają, więc kochani Rodacy odżałujcie tych parę groszy i zapiszcie sobie polską gazetkę. Pozdrawiam kochaną „Pracę“ i wszystkich czytelników. *M. St.*

Polak z obczyzny.

* * *

Kiel (Kilonia.)

Szanowna Redakcyo!

Czytamy wiele w „Pracy“ jako i w innych gazetach polskich o Tow. na obczyźnie z Westfalii, Nadrenii, Hanoweru i t. d., lecz o Tow. z Kilonii z północnych kresów Niemiec, nie było jeszcze żadnej wzmianki. Myślimy, żeśmy nie od macochy, ale tak samo dziećmi ziemi polskiej ojczyzny naszej ukochanej i tęsknimy za nią jak ptaszyna w klatce uwięziona, prosimy więc o podanie i o nas wiadomości. Właśnie tu, gdzie socyalizm najbardziej jest rozkrzewiony, musimy walkę toczyć, ażeby na narodowości nie utracić. Celem Tow. św. Wojciecha jest: zachowanie wiary naszej i pielęgnowanie języka ojczystego. Dnia 3-go lutego obchodziło Tow. nasze 8 rocznicę swego istnienia. Program urozmaicono: śpiewem, odczytami i deklamacyami treści religijnej i narodowej.

Najwięcej uznania należy się Kółku śpiewackiemu naszego Tow., które swem 4-ro głosowym śpiewem, najwięcej rocznicę upiększyło. Towarzystwo sprowadziło polskiego księdza z Hamburga, który nam odprawił mszę św. i polskie kazanie wygłosił. Śpiew chóralny wykonało Kółko śpiewackie. Każdy obecny temu obrządkowi wracał uradowany i pokrzepiony na duchu z kościoła, gdyż taka sposobność rzadko nam się tu nadarzy. Tak samo ksiądz Kisielewicz cieszył się, iż widział Polaków z wesołemi twarzami, lecz ubolewał nad tem, iż na tyle Polaków ile się w Kilonii znajduje, ledwie 120 się zgromadziło, ubolewał tak samo, iż w swej parafii ma wiele do czynienia i nie może nas często odwiedzać, Polacy zaś na obczyźnie po większej części wyzuci z wiary i narodowości, nie korzystają z tak dobrej sposobności, która im się tu rzadko nadarzy. Dzieci po polsku nie uczą, mówiąc, iż to im nie potrzebne, choć sami mało lub wcale po niemiecku nie umieją, do dzieci choć małych jednakowoż po niemiecku bełkocą, polskiej swojej ukochanej mowy się wstydzą, choć ich po polsku można rozumieć, gdy po niemiecku rozmawiają. Brak tu oto odwagi cywilnej, jaką nam tu polskie pisma w duszę wlewają. Jest tu mała garstka Polaków, którzy zachowują swe powinności narodowe, i uczą także swe dzieci po polsku i tym więc należy się serdeczna podzięka.

Z pozdrowieniem

Zarząd Towarzystwa.

(Prosimy o adres Red. „Pracy.“)

* * *

Z Kół uniwersyteckich otrzymujemy następujący artykuł:

Szanowna Redakcyo!

Podczas wakacyi dość często miałem sposobność odwiedzać domy mieszczańskie i włościańskie. Przy tej okazyi następujące zrobiłem spostrzeżenie: Otóż bardzo rzadko niestety znalazłem na ścianach wiszące obrazy narodowe, prawie wyłącznie treści religijnej. Rzecz swoją drogą zupełnie naturalna. Na odpustach i jarmarkach lud nasz, chociażby i chciał, obrazów narodowych kupić nie może. Handlarze i introligatorzy li tylko obrazy religijne na składzie mają, a księgarze polscy, prawie zupełnie zaniedbują tę sprawę. Najważniejszą przyczyną jest brak odpowiednich polskich wydawnictw. Nie mam w zasadzie nic przeciwko obrazom Świętych, lecz dom nasz jest nietylko katolickim, ale także i polskim, i obok obrazów religijnych powinny się znajdować także ryciny przedstawiające świetną naszą przeszłość. Jak każdy dom katolicki na wewnątrz odznacza się tem, że znaleźć w nim można wodę święconą, Pana Jezusa, św. Józefa i t. d., tak w każdym domu polskim powinny się znajdować wizerunki naszych królów, bohaterów i wielkich mężów, okazując im przynależność do polskiej ojczyzny. Rodzice, zwłaszcza matki, powinni zwracać uwagę dzieci na te obrazy z historyi naszej, dodając do tego krótkie objaśnienia. Takim sposobem najlepiej już w młodości w serca naszych dziatek wpoją miłość ojczyzny. Ale niestety rzadko to się zdarza. I pod tym względem „Praca“ mogłaby wywrzeć swój błogi wpływ. Otóż dla „Pracy“ z małemi tylko trudnościami i kosztami byłoby połączone wydawnictwo „Album Pracy“ na grubszym papierze, nadającym się do oprawy, jakoteż rycin w cokolwiek większym formacie. „Album Pracy“ niestety nie odpowiada tym wymaganiom, ponieważ zupełnie pogniecony dostaje się w ręce czytelników. Ryciny także połączyć można w osobny album, gustownie oprawny, który w każdym salonie znajdować się powinien. Introligatorzy, handlarze i księgarze polscy, zwłaszcza na odpustach i jarmarkach sprzedający, powinni się starać o jak największe rozpowszechnienie. Otwiera się dla nich nowa gałęź przemysłu. Potrzeba takich obrazów jest oczywista. Cena będzie prawdopodobnie tak nizka, że w każdym domu kilka obrazów narodowych znajdować się może. Zwracam się także do towarzystw, zwłaszcza na obczyźnie. Tam już doprawdy robotnicy nasi nie dostają w żadnym składzie obrazów narodowych. Więc towarzystwa muszą się zająć rozpowszechnieniem. Aby uniknąć nieprzyjemności z policyą i sądem, ponieważ nie wolno bez pozwoleństwa sprzedawać, powinno każde Towarzystwo z własnych ewentualnie drogą składek zebranych funduszów, zakupić większą ilość rycin i bezpłatnie rozdawać pomiędzy członków. Ryciny te, zwłaszcza albumy, nadają się także bardzo jako podarek gwiazdkowy dla naszej dziatwy. Jestem przekonany, że „Praca“ poprze z energią podaną myśl i cieszyłbym się bardzo, gdyby szan. Redakcya jako nadzwyczajne premie, za małem wynagrodzeniem wyznaczyła cudowny obraz Styki „Ojczyzna“ w większym formacie i na grubszym papierze. *K. H.*

Podaną myśl postaramy się urzeczywistnić. (Przyp. Red.)

* * *

Baukau.

Kochana „Praco!“

Tutaj w Baukau przed trzema laty, gdzie przebywa przeszło 2,500 Polaków, nie było wcale kościoła, tylko mieliśmy taką salę, w której się nabożeństwo odprawiało, a jak Niemcy zobaczyli, że Polaków coraz więcej przyjeżdża, poczęli budować kościół, naturalnie za polskie pieniądze, bo rodacy nasi myśleli, że będą mieli wszelkie swobody, gdy kościół wybudują, ale omylili się bardzo grubo. Dopóki my się posługiwali tą salą, nie należał do zarządu kościelnego ani jeden Polak, a Niemców było 8; ale kiedy widzieli, że bez pomocy Polaków nic zrobić nie będą mogli, uciekli się do tego sposobu, aby wybrać Polaków do zarządu kościelnego i to trzech. Kiedy poczęli kościół budować, a było potrzeba jeszcze czego, wtedy przychodził ks. Beter na zebranie Tow. św. Kazimierza i powiadał: „Meine liebe polnische Katholiken“, żeby sprawili ołtarz do kościoła. Zaraz na drugiem zebraniu uchwalili też sprawić ołtarz z Matką Boską Częstochowską i poszło 2 lub 3 Polaków do księdza oznajmić mu tę radosną nowinę, że sprawią ołtarz z Matką Boską Częstochowską. On się jednak oparł stanowczo i orzekł, że tego nie może przyjąć, dla jakiej przyczyny, tego nie wiemy. Jeszcze na tem nie koniec, otóż gdy ołtarz uchwalili, nie wiedzieli, jak będzie drogi, aż tu naraz ksiądz zaśpiewał 3400 mk. Gdy ten kościół był wnet ukończony, przyjechał go poświęcić biskup Gokel. Więc przychodziły wszystkie towarzystwa katolickie, aby powitać dostojnika Kościoła i naturalnie też Polacy wzięli udział w tej uroczystości i myśleli, że skoro tyle już sprawili dla kościoła, usłyszą choć błogosławieństwo od biskupa, ale się grubo zawiedli. Te Towarzystwa, które brały udział w tym pochodzie były pospisywane na karcie i o niemieckich towarzystwach, choćby najmniejszych, wspomniał w błogosławieństwie, a o polskich zapomniał, więc Polacy chęć stracili i nie chcą teraz dalej na ołtarz zbierać, a już jest zebra-

nych 620 marek i naturalnie oddane Niemcom, a co się dalej stanie z tym ołtarzem to nic nie wiadomo. Teraz od kwietnia jest naturalnie drugi ksiądz także Niemiec, który ani słowa po polsku nie rozumie, a jak pieniędzy potrzeba to: „Die polnischen Katholiken haben dasselbe Recht wie die Deutschen". Ale gdzie mamy te prawa, tego nikt nie wie, pewnie, że nam do kościoła wolno przyjść. Teraz przyjechał z Bochum ks. Meissner i w nieładny sposób się wyrażał o Polakach. *M. W.*

* * *

Królewska Huta.

Kochana „Praco!"

Cała armia hakatystyczna daremnie sobie głowy łamie nad tym upiorem „wielkopolskiej agitacyi" na Górnym Śląsku. Daremnie winę zwala na Wielkopolan i Galicyan, że to oni wzniecili ten ogień miłości Ojczyzny u nas. Kto pamięta przed mniej więcej 40-stu laty lud G. Śląski, ten przyznać musi, że przyczyna rozbudzenia się ducha narodowo-polskiego leży w czynach człowieka, który z biednego szlachetki stał się księciem Herzogiem von Lauenburg. On to, a nie kto inny, pierwszy zwrócił oko na dzielnicę G. Śląska, a widząc tam jeszcze trochę nauki w szkołach, któremi kierowali księża katoliccy, jednym zamachem pióra odciął tę naukę w szkołach, a każdego, którego on był śmiertelnym wrogiem, wypędził ze szkół, tak że potem protesta za protestami w zebraniach ludowych, którym przewodniczyli księża, szły do Berlina, a chociaż tam nic sobie z tego nie robiono, ale lud G. Śląska sobie z tego wiele robił, a widząc, że tam w Berlinie lekceważą go sobie, podnosił ducha, gotował się do walki, a w tej walce przejrzał i zobaczył, jak był oszukiwany przez swoich przewodników w szkołach, wbijających mu w głowę, że jest ludem pruskim po polsku mówiącym.

Niestrudzony i nieustraszony Karol Miarka, jako prawdziwy przyjaciel ludu górnośląskiego, nie zaspokajał się pisaniem historyjek i wydawaniem „Katolika", ale zakładał też Tow. polskie jak kasyno w Królewskiej Hucie (r. 1868) z charakterem politycznym, a którego to prezesem był ks. Łukaszczyk. Pod naciskiem komisarza policyjnego pana Wisnera widział się dawniejszy proboszcz ks. Deloch spowodowany to Tow. zmienić na religijno-towarzyskie pod tytułem „Kółko" (w r. 1872). Wówczas już Karol Miarka siedział w więzieniu. Za tym przykładem poszły i Mysłowice, Rozdzień, Laurahuta, Katowice, Wirek, Zabrze, Poremba, jednem słowem wszędzie brano się do zakładania Towarzystw z polskim charakterem i na wszystkich tych wiał polski duch, w nich pozakładano biblioteki a wszędzie w tych Tow. przewodniczyli księża kapelani; tak ks. Bismark chybił swojego celu, bo zamiast rozniecić ducha germanizacyjnego, rozniecił ducha polskiego na Górnym Śląsku i on to, a nie kto inny był pierwszym wielkopolskim agitatorem. Spostrzegł się dopiero po słowach ks. proboszcza Soboty z Radzionkowa, który na wiecu w Bytomiu z mównicy do zgromadzonych przemawiał, że rząd lepiej i pewniej dopiąłby celu w germanizacyi G. Ślązka, gdyby zaniechał walki z duchowieństwem, a podał dłoń do zgody, przy pomocy księży bowiem łatwiej zgermanizuje lud polski na G. Śląsku.

Ledwo ten kapłan zstąpił z mównicy zaraz też p. Karol Miarka wstąpił na mównicę, a widzieliśmy go całego drżącego, usta mu zsiniały, a pierwsze słowa które wyrzekł były: „Lud G. Ś. był polski, jest, będzie i musi pozostać polski, bo tego sprawiedliwość Boska wymaga. Ani rząd, ani żadna inna świecka osoba, a niech ona stoi na najwyższym szczeblu dostojeństwa nie ma prawa temu ludowi narzucać innej mowy, a cóż dopiero dostojnicy wiary św., tym absolutnie nie wolno narzucać się rządowi w pomaganiu germanizowania ludu G. Ś. A obracając się, gdzie siedziało duchowieństwo zawołał: „Nieprawda, kochani słudzy ołtarza Bożego, którzy macie to szczęście piastować każdodziennie Boga miłości i pokoju, że się nie zgadzacie na ten zdradziecki projekt ks. Soboty?" Zawołano jednogłośnie „nie!" „Jeżeli rząd chce lud nasz germanizować, niech germanizuje a zastanie nas twardych i nieugiętych i prędzej o skałę twierdzy G. Ś. głowę roztrzaska niż on nas zdrajcami uczyni." Ale snać słowa ks. Soboty doszły do rządu, bo niezadługo walka kulturna zaczęła chłodnąć tak aż nareszcie za wpływem ks. biskupa na Fuldzie dr. Koppa nastało zawieszenie broni.

Potem po śmierci ks. biskupa wrocławskiego, ks. Herzoga, gdy kapituła przystąpiła do oboru naczelnika dyecezyi wrocławskiej i potrójną listę z kandydatami na stolicę apostolską w Wrocławiu posyłała do Berlina dla potwierdzenia, zawsze dostawała ją zwróconą. Kandydaci byli przekreśleni, a u spodu widniał napis ministeryalny: dr. Kopp. (Mądrej głowie dość na słowie).

Z pozdrowieniem
Prawdzic, Górnoślązak,
wierny i stary przyjaciel „Pracy."

Sama.

O rannym świcie, z pomroki kościoła
Chrystus wychyla Swe przesmutne lica:
Przed Nim tłum zgina troską zryte czoła
I łkając pada stara wyrobnica.

Dziś dla niej wielka nadeszła godzina —
Ołtarz w jarzących świec stoi ozdobie:
Na mszę żałobną za zmarłego syna
Dała grosz wdowi — złożyła go sobie.

W krzyż rozpostarta na kamiennej płycie,
Do głazu piersią przylgnęła zbolałą,
I ścichła w bólu dławiącym przesycie —
W krtani głos zamarł, i łez jej nie stało.

Lecz oko czuwa pod zwartą powieką:
Widzi, — jak niosą i składają w chacie
Jedyne dziecko — jej syna — kaleką,
Gdy go machina pogryzła w warsztacie.

Widzi go dobrze — pół-martwy, krwią [zlany,
A pragnie życia i szczęścia na świecie...
Zliczyć gotowa jego wszystkie rany —
Myła je sama swemi łzami przecie...

Ach jak to straszno, o Chryste nasz Panie,
Ze śmiercią dziecka walczyć matce samej!
Jękiem przerywać mu ciężkie konanie —
I stroić potem do mogilnej jamy...

Organ się ozwał i swym rzewnym tonem
Krąży wśród ludu coraz to natrętniej —
Grzmiącym akordem wstrząsa każdem [łonem,
Żałość w nich kruszy i słodyczą tętni...

Nieszczęsna zdała się dźwięków pieszczo- [cie —
I w dal odbiega od niej rozpacz głucha,
A myśli w nagłym, bezwiednym obrocie
Skrzydłem zachwytu podnoszą jej ducha.

Wznoszą — gdzie perłą grosz jej wdowi [płonie,
Gdzie chór aniołów, raju złota brama...
I tam, przez tęczę i gwiaździste błonie
Ona wprowadza — swego syna — sama..

* * *

Powstała z ziemi w skupieniu głębokiem,
W uchu jej grają śpiewające szumy,
Cudne widzenie faluje przed okiem,
I poszła pełna błogości i dumy...

El—ka.

Z pobytu cesarza Franciszka-Józefa w Pradze.

Przyjęcie cesarza Franciszka-Józefa w Pradze było wspaniałe i imponujące, nie mniej zaś ze strony narodu czeskiego szczere i gorące. *Zlata Praha* wystąpiła z przepychem zdumiewającym. Dekoracya miasta, bogata i gustowna nad wszelki wyraz, była przeniesieniem scenicznej sztuki dekoracyjnej na ulicę, na światło słoneczne. Sztuka ta, przy ogromnym rozwoju przemysłu artystycznego u Cze-



Dekoracya miasta.

chów, święciła w tem zastosowaniu istne tryumfy. Pomijam sute ozdoby domów, szpalery gęste drzew masztowych, ubranych w girlandy, a powiewających barwnemi chorągwiami, zatrzymując się na chwilę przy bramach tryumfalnych, w szczególności przy tej, która zamyka wielki bulwar, zwany „*Vaclavskiem namiestim*" od strony Przekopu i ul. Ferdynanda. Było to cacko artystyczne w mieszanym stylu renesansu i secesjonizmu. Rzeźba, malarstwo współzawodniczyły w ozdobie z rękodziełami pomocniczemi. Jedno z drugiem wiązało się w przepiękną harmonijną całość o kolorycie efektownym, z łagodnie przyćmioną jaskrawością. Sztuka, wiążąc się tu z przemysłem w jedną całość, była świadectwem wielkiego kulturalnego rozwoju Czechów. Nie dość bowiem mieć pieniądze, trzeba także coś umieć, aby zdobyć się na tak świetną dekoracyę na przyjęcie cesarza a *króla*.

W okrzykach, jakiemi ludność witała monarchę na każdym kroku, we wszystkich powitalnych przemówieniach, w ozdobieniach kamienic i gmachów położony był szczególny nacisk na słowo „król". To oddźwięk uczucia, opartego na dziejowej przeszłości, to życzenie serca.

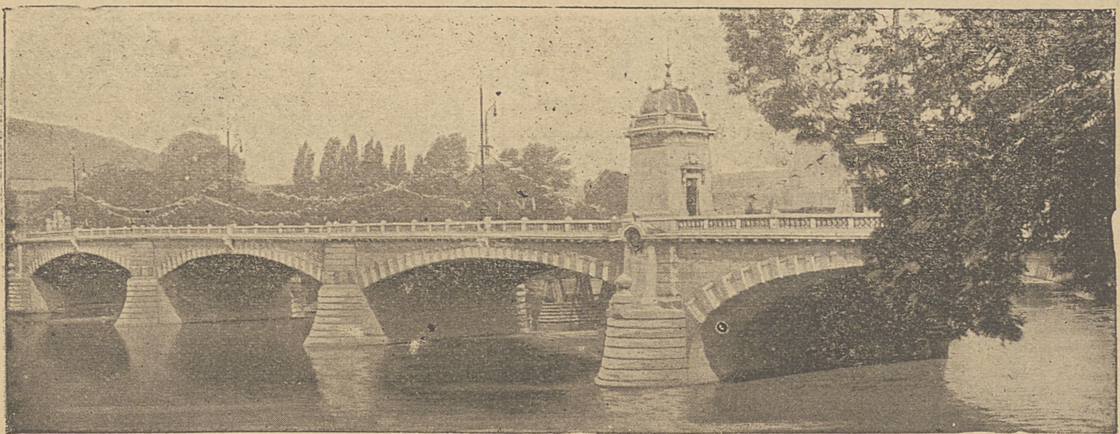
Gdy cesarz w towarzystwie prezydenta gabinetu Koerbera, ministrów Rezeka i Hartla, a z świtą liczącą 360 osób, jakiej jeszcze nie używał przy żadnej z dotychczasowych swoich podróży do krajów koronnych, wyjeżdżał do Czech, widziano w czeskiej podróży cesarskiej pierwszorzędne zdarzenie polityczne. To też wzrok, jeśli nie całej Europy, to całej monarchii zwrócił się ku Pradze czeskiej.

Tymczasem politycznych słów prawie wcale nie wyrzeczono podczas pobytu cesarza w Pradze. Jedynie mowa powitalna burmistrza, dra Srba, na dworcu kolejowym, miała w małym ustępie, wygłoszonym po niemiecku, znaczenie polityczne, bo przedstawiciel stolicy, powołując się na dewizę, zdobiącą omszałe historyczne mury ratusza prazkiego: „*Praga caput regni*" mówił o „*jedności* (niepodzielności) *królestwa*", a w logicznym rozwoju tej myśli witał monarchę w imieniu wszystkich mieszkańców kraju. Słowa te nabrały tem większego znaczenia, iż wypowiedziane zostały ze zgodą rządu. Prócz tego jednak, nie zaszło nic politycznego. Cesarz unikał we wszystkich swoich przemówieniach nawet politycznych aluzyj, a tylko podnosił potrzebę zgody obydwóch narodowości krajowych. Ta niepolityczność podróży cesarskiej jest programem jej znamieniem. W oczekiwaniu politycznych mów była niezawodnie przesada, niezgadzająca się z rzeczywistem położeniem politycznem. Parlament bowiem wiedeński został uruchomiony nie na podstawie zgody niemiecko-czeskiej, do której wogóle jest jeszcze daleko, lecz na podstawie zawieszenia broni pomiędzy Niemcami a Czechami z jednej, zaś pomiędzy Czechami a rządem z drugiej strony, w celu uchwalenia projektów gospodarczych (budowy dróg żelaznych i wodnych). Gdy się termin zawieszenia broni skończył, a podczas zawieszenia umysły wzburzone uśmierzyły się, udał się cesarz z ministrami do Czech, by osobistą interwencyą przedłużyć termin zawieszenia broni w celu dalszej pracy parlamentarnej, która ma w jesieni zadość uczynić bardzo ważnym potrzebom państwowym: załatwić ugodę z Węgrami i budżet państwowy.

Czesi, nie oddając się złudzeniom, rozumieli, iż należy pokazać królowi, czem są pod względem kulturalnym i jak szczerze są przywiązani do dynastyi. Tym sposobem „podróż czeska" była ze strony cesarza pokojowo-*misyjną*, zaś ze strony Czechów narodowo-manifestacyjną. Cesarz toruje posłannictwem swem drogę do zgody; Czesi, przedstawiając się monarsze w pełnej sile narodowej, starają się tym sposobem wpłynąć, by warunki zgody był odpowiednie.

Czy przyjdzie do ugody czesko-niemieckiej? Pod tym względem panuje po obydwóch stronach pesymizm. Może jednak nastąpić większe złagodzenie przeciwieństw narodowych. Terapja polega na usuwaniu przeszkód głównych, czyli wygórowanych żądań jednej i drugiej strony. Za takie uważa rząd p. Körbera z czeskiej strony: wskrzeszenie Królestwa czeskiego na podstawie prawa dziejowego, z niemieckiej zaś: niemiecki język państwowy i podział kraju na niemiecką i czeską część. Jakoż istotnie doprowadził pan Körber do tego, że Czesi i Niemcy przycichli z temi żądaniami.

Kulminacyjny punkt uroczystości stanowiło poświęcenie nowego mostu



Widok nowego mostu cesarza Franciszka Józefa w Pradze na Weltawie, otworzonego uroczyście przez tegoż dnia 14 czerwca r. b.

na Wełtawie. Aktu tego dokonał praski książę-kardynał Skrbensky.

Świetnem także widowiskiem było uroczyste przedstawienie w czeskim teatrze narodowym. Sala teatralna zebrała kwiat czeskiego narodu, wszystko, co naród posiada znakomitego nauką, talentem, patryotyzmem i rodem, pracą i stanowiskiem. Przedstawicielki czeskiej szlachty historycznej błyszczały brylantami klejnotów. Niejedna z nich miała głowę i cały gors płonące blaskiem brylantów mniejszych i większych. Bogate obywatelki miast rozwinęły także wielki przepych tualetowy. W loży parterowej, pod cesarską, obecni byli dwaj ludzie z wyglądem nie salonowym, synowie narodu, wielcy duchem, bohaterowie wieczoru: poeta Jarosław Vrchlicky i muzyk-kompozytor Antoni Dworzak, których utwory (Vrchlicky'ego historyczna komedya: „Noc na Karlsztejnie" i Dworzaka najnowsza opera: „Rusałka", z pierwszej akt drugi, z ostatniej trzeci) złożyły się na repertuar przedstawienia galowego. Jeden — mistrz słowa natchnionego, drugi mistrz — natchnionej muzyki. Dramatyczna sztuka czeska przedstawiła się monarsze godnie. Był też zdumiony postępami Czechów na tem polu, czemu nadał wyraz w rozmowie z kilkoma osobistościami. Drugiem wspaniałem widowiskiem był wieczór u marszałka krajowego, ks. Jerzego Lobkowica, dany na cześć cesarza. Był to ponowny zbiór elity narodu czeskiego. Gdy raz, przed laty, działacze czescy byli zgromadzeni dla radzenia o sprawach narodowych w niedużym pokoju Palacky'ego, odezwał się ten żartobliwie, że gdyby przypadkiem zawalił się sufit pokoju, zginąłby cały czeski naród. A dziś, naród czeski liczy miliony uświadomionych obywateli.

G. S.



Poświęcenie nowego mostu.



Cesarz Franciszek Józef rozmawia z księciem-kardynałem Skrbenskym po poświęceniu nowego mostu.

Stanisław Szczepanowski,

biskup krakowski.

Słodko i miło jest ludziom przypominać sobie ojców, dziadów, pradziadów, od których ród i pokolenie wiodą, a ich pięknych i szlachetnych czynów przykładem do podobnej się sławy zachęcać.

Liczy Polska pomiędzy Opiekunami swymi św. Stanisława, jednego z biskupów krakowskich, którego kościół dla cnót szczególniejszych w poczet Świętych policzył, za przykład gorliwości o wiarę Ojców wystawiając.

Rycina 2-nie umieszczona, wystawiająca wskrzeszenie Piotrowina przez św. Stanisława, jest kopią obrazu, zdobiącego wielki ołtarz kościoła farnego w Poznaniu, a dziełem pędzla Jezuity Polaka, z nazwiska nieznanego.

Stanisław urodził się z ojca Wielisława herbu Toporczyk i matki Bogny, w Szczepanowie, wiosce rodziny swojej, na dwie mile od Bochnii, kopalniami soli sławnej, a na 7 mil od Krakowa odległej. Otrzymał od Opatrzności, jak wyraża opisujący życie jego Długosz, dobrą duszę i szanowne przymioty w udziale. Urodny, z młodości zaraz bogobojny, rozsądny, dowcipny, wstrzemięźliwy, zdatny i ochoczy do wszystkiego dobrego, podobny do miękkiego wosku, na którym łatwo wyciśnione rysy zostają, przyjmował z początku w domu rodzicielskim oświecenie, ile na owe czasy gruntowne, później kształcił się w szkole gnieźnieńskiej. Ukończywszy nauki w Ojczyźnie, udał się do Paryża, aby się tam w teologii i nauce prawa udoskonalić. Siedm lat strawiwszy na naukach w stolicy Francyi, powrócił do kraju, gdzie rodziców już przy życiu nie zastał. Rozdzieliwszy majątek pomiędzy ubogich przybył do Krakowa, zamyślając wstąpić do zakonu, aby przy naukach bez przeszkody pobożnym ćwiczeniom mógł się oddawać. Lambert Zula, biskup krakowski, poznawszy wykształconego młodzieńca i niepospolite jego zdolności, wezwał go do boku swego, i naprzód kanonikiem, później kaznodzieją mianował.

Jako przez całą młodość zbogacał Szczepanowski umysł swój, nabywając potrzebnych nauk i wiadomości, i serce do prawdziwych cnót sposobiąc, tak potem jako mąż nie szczędził zebranych skarbów dla dobra braci swoich. Usta jego głosiły naukę Zbawiciela przez wiele lat w murach katedry krakowskiej, a życie jego było pasmem szlachetnych czynów. Osłabiony wiekiem biskup dziękował za pomoc, udzielaną w trudnym pasterstwa urzędzie i za życia swego Szczepanowskiego następcą swym widzieć pragnął. Wymówił się skromny kapłan starcowi, aleć po śmierci jego jednomyślnie wzywającemu go na stolicę biskupią duchowieństwu musiał być posłusznym, lubo z obawą przyjął ofiarowany sobie stopień, do którego tak wielkie i liczne powinności są przywiązane.

Gorliwy w wykonywaniu onych, przyświecał wiernym, jako jaśniejąca pochodnia na i wyższem widoczném postawiona miejscu jako dobry pasterz, czule zajmował się swą trzodą, hojnie wspierał wdowy i sieroty, usuwał wszelkie złe, poprawiał, dobre zaszczepił i rozszerzał. Już zaczął się cieszyć Szczepanowski owocami prac i trudów około dobra trzody podejmowanych, gdy nagle serce jego zasmuconem zostało.

Powrócił Bolesław Śmiały, zwycięzca Węgrów, Czechów, Morawów, pogromca

Rusi, z zdobytego Kijowa do stolicy. Zaślepiony pomyślnością, oddał się rozpuście i zbytkom, które za granicami państwa poznał. Za przykładem króla szli dworzanie i wojsko: wzrastała rozpusta, niesprawiedliwość i uciemiężenie spokojnych obywateli przez zauszników i pochlebców pana. Złe szerzyło się co raz dalej: boleli nad niem prawi obywatele, bolał cnotliwy biskup, a chcąc złemu zapobiedz, udał się do króla, i z uszanowaniem potrzebę zmiany szkodliwego krajowi postępowania przedstawił. Obiecał monarcha wejrzeć we wszystko; lecz oddany rozkoszom, zapomniał wśród biesiad o przyrzeczeniu, a rozhukane żołnierstwo uciemiężało lud, i dopuszczało się wszelkich zbrodni na spokojnych włościanach. Z zakrwawionem sercem zaniósł cnotliwy biskup powtórnie swe prośby do tronu króla: błagał i zaklinał, aby się upamiętał, a sobie i narodowi dziedziczną pobożności sławę przywrócił. Przypominał: że grzechy panujących cięższe są od prywatnych przewinień, ponieważ się prędzej wydają, obszerniej słyną, więcej naśladowców za sobą ciągną: a kogo Pan światów na najwyższej strażnicy za ojca i wodza narodom postawił, winien mu tem bardziej miłość i poszanowanie, poddanym zaś dobry przykład i powód do cnoty. Pogroził nakoniec zemstą bożą i wiecznemi karami, którym równie występni świata mocarze, jak i ubodzy kmiecie podlegają. Wreszcie, gdyby tego usłuchać nie chciał, wykluczenia z łona kościoła spodziewać się był powinien. Nie skutkowały ani prośby, ani przełożenia, ani groźby biskupa; rozgniewany król myślał o sposobach zemsty, a pochlebcy dworu wyszukiwali one starannie. Uniewinnienie, cudownem w imię Bozkie Piotrowina wskrzeszeniem, z zarzutu uczynionego Stanisławowi, jakoby nieprawnie nabył włość przed kilku laty kupioną, rozjątrzyło jeszcze bardziej króla, i zawstydzonych jego zauszników. Mniemaną zniewagę krwią biskupa Bolesław zmazać poprzysiągł. Przyszło z obu stron do wykonania pogróżek. Biskup trwającego w nałogach króla publicznie wyklął, i kościół zamknąć kazał; monarcha też ze swojej strony czychał na biskupa, aby go życia pozbawić.

Błagał Stanisław w skrytości Pana Zastępów i sprawował najczystszą ofiarę w obliczu kilku kapłanów, gdy na rozkaz króla przywykła do rozlewu krwi rota wpadła do świątyni, aby oderwać biskupa od ołtarza, i za kościół wyprowadzić. Lecz bądź z przestrachu przedsiewziętej zbrodni, bądź cudownem jakiemsiś światłem przerażona padła na ziemię, i ledwo się czołgając nazad wyniosła. Wysłany powtórnie poczet innych zuchwalców, tąż samą bojaźnią przerażony, gdy królewskiej woli nie wypełniał, Bolesław wyrzucając gnuśność rycerstwu, sam dobywszy miecza, przypadł do ołtarza, i kończącego ofiarę biskupa, a proszącego Boga, aby zabójcom swym winę darował, tak potężnie w głowę uderzył, iż krwią i mózgiem bliską ścianę oprysnął. Ośmieleni przykładem królewskim żołnierze, napomniawszy się wzajemnie, porwali zbroczone ciało, i wywleczone za kościół, na drobne sztuki posiekłszy, ptactwu i zwierzętom na pokarm rozrzucili. Zebrane z czcią zwłoki męczennika złożono najprzód na miejscu popełnionego mordu: dotąd pokazują w Krakowie w kościele na Skałce ołtarz, przy którym Stanisław św. zabitym został, i krople krwi jego na murze. W lat dziewięć (1088) Lambert, następca Szczepanowskiego, przeniósł go do katedry, gdzie w wspaniałym grobie, przez gorliwych ziomków wystawionym i kosztownie ozdobionym, spoczywa. W 170 lat później Innocenty IV, za staraniem królów polskich, w poczet Świętych policzył, i za patrona Polsce przeznaczył. W dzień ósmego Maja odbywa się coroczne uroczysta procesya z Katedry do kościoła na Skałce, gdzie głowę św. Stanisława w kosztownej trumience, którą w skarbcu przez cały rok chowają, w ten dzień przynoszą. Był zwyczaj, iż królowie polscy w wigilią swej koronacyi z zamku do tej świątyni przychodzili. Stanisław August król, na większe uwielbienie swojego i kraju patrona, kościół mu w Rzymie narodowy przyozdobił, i order św. Stanisława, w nagrodę zasług i cnót obywatelskich ustanowił, do zaszczytu zewnętrznego wkładając obowiązek wspierania ubogich.



Wskrzeszenie Piotrowina przez św. Stanisława.

Dowiedziała się stolica Rzymska o zabiciu biskupa i zadrżała. Prócz duchownego ukarania za występek, pokazał Grzegorz VII Papież, w pomieszaniu na ów czas i zapasach duchownej władzy z świecką, drugi przykład surowości na polskim tronie, którą już na cesarskim w osobie Henryka IV wykonał. Prócz powszechnej klątwy na cały naród, zamknięcia domów bożych, wykluczenia króla ze społeczeństwa Kościoła, odsądził go nadto bezprawnie od korony. Próżno Bolesław przedsiębrał różne sposoby dla utrzymania się na tronie, aż opuszczony przez podchlebców, wzgardzony od ludu, opuścił krainę ojców, na obcej ziemi szukając schronienia. Rozmaite są podania o śmierci Bolesława: powszechnie zaś utrzymują, iż błąkając się w Karyntyi, w klasztorze Ossją nazwanym, długi czas na usługach kuchennych strawiwszy, umarł na pokucie. Kromer twierdzi, że Walenty Kuczborski, przyjaciel jego, jadąc do Rzymu z Stanisławem Hozyuszem, biskupem warmińskim, widział w Karyntyi, w klasztorze Ossja o pół mili leżącym od miasteczka Feldkirchen, na cmentarzu grobowiec kamienny, na którym był wyryty koń pod siodłem z napisem łacińskim: „Bolesław, król polski, zabójca św. Stanisława, biskupa krakowskiego.“ Uczony Tadeusz Czacki widział także wspomniany grobowiec, lecz z napisu i rysunku ma go za dzieło 13-go, a może i 14-go wieku. Znajduje się także w tym klasztorze opisanie życia Bolesława, lecz liche to pismo zdaje się być raczej podaną od przechodniów i bajkami przeplataną powieścią, niżeli dziejów istotną osnową.

Smutne Bolesława z świętym biskupem zdarzenie, wzięło trzech poetów polskich: Wężyk, Hoffmann, Korzeniowski, za przedmiot do swych tragedyi, z których ostatnia pod napisem: „Mnich“ wystawia Bolesława wśród zakonników pokutującego. *P. L.*

Do historyi malarstwa polskiego.

Malarz Gładysz.

W czasie, w którym zamiłowanie sztuk pięknych liczne wywołało stowarzyszenia ku ich pielęgnowaniu, wartoby też pomyśleć o szkole polskiej malarstwa i choć zwolna wyciągnąć na jaw okryte kurzem

i butwiejące częstokroć nieznane tego rodzaju zabytki.

Dotąd w „Pracy“ nie zdarzyło mi się spostrzedz biografii, ani kopii dzieł polskich malarzy: Smuglewicza, Orłowskiego, Stachowicza, Gładysza i innych; nie wyczytałem dotąd żadnej wzmianki o rysownikach i rytownikach: o płodnym w pomysły Danielu Chodowieckim, tudzież o Strachowskim, Siedleckim, Głowackim, i pomijając wielu innych, o utalentowanym Józefie Mielcarzewiczu z Poznania.*)

Obojętność niejaka do tej gałęzi sztuk pięknych czasem okazywana, liczne stawia przeszkody w zasięgnieniu wiadomości tak o życiu, jak i o pracach naszych rodaków. Trudności tej doznałem w wywiedzeniu się o życiu malarza, którego portret przesełam. Przy usilnem staraniu ledwie następującą o nim wydobyłem wiadomość:



Malarz Gładysz.

Malarz Gładysz, podobno imieniem Jan, urodził się w Poznaniu. W młodości od ojca do rzemiosła kowalskiego sposobiony, często zamiast przeznaczonej pilnować roboty, węglem rysował po ścianach kuźni, puszczając wodze mimowolnie wyrywającej się chęci do malarstwa. Nie wiadomo jak długo w tym stanie przetrwał; to jednak pewna, iż znalazł protektora, który umiał poznać równie wrodzoną skłonność jak i zdolności młodego artysty i nadać im właściwy kierunek. Za jego poręką wykształcił się i usposobił Gładysz na malarza.



Mikołaj Kopernik. (Malował Gładysz.)

Rozrzucone po całej niemal Polsce obrazy jego wystawiają po większej części gładkim pendzlem przy pewności rysunku oddane familijne portrety. Z historycznych obrazów dotąd tylko ten jeden, który niniejszem przesełam, zdarzyło mi się widzieć. Wnosić przecież ztąd można, że i w historycznym doświadczał sił swoich zawodzie. Umarł przed 60 laty w Warszawie, pięćdziesiąt i kilka lat licząc.

Powiadano mi o nim, że takie z czasem powziął o pracach swoich uprzedzenie, iż mając porozsełane obrazy po kilku stolicach Europy, wolał je własnym kosztem, drogie opłacając portorya, napowrót sprowadzać, jak niżej oznaczonej przez siebie ceny pozbywać. Zdaje się jednakże, iż przeznaczenie tak mieć chciało; z sprzedaży bowiem tych niepozbytych obrazów zebrano po jego śmierci sumkę dość znaczną, zabezpieczającą byt pozostałej w nienajlepszych stosunkach rodziny.

* * *

W powyższym artukule o Gładyszu została uczyniona wzmianka o obrazie historycznym, przez niego malowanym, który niniejszem w wiernej kopii tu zamieszczamy. Przedstawia on Kopernika zadumanego, w postawie siedzącej, wspartego na obok stojącym globie, z perspektywą w ręku i rozłożoną na łonie mapą. Tło obrazu tworzy okolica, drzewami poczęści zarosła, niknąca w ciemnościach nocy, upięknionej rozrzuconemi po niebie gwiazdami. Wystawił Gładysz tego wielkiego astronoma w ubiorze kanonika, w chwili, kiedy tenże zdaje się nowego systemu odkryciem być zajęty. W ogólności obraz ten, jakkolwiek ma swoje zalety, nie może przecież się mieścić w rzędzie wykończonych prac tego znakomitego artysty.

W jakim celu zresztą malowany, objaśni napis, z którym zapewne razem nad skarboną w r. 1810 w Płocku był zawieszony. Napis ten na papierze, na odwrotnej stronie obrazu przyklejony, jest następujący:

„W zamiarze rozkrzewienia umiejętności astronomicznej, owej nauki niebieskiej, której się poświęcając Mikołaj

---

*) Redakcya „Pracy“ bardzo Szanownemu autorowi wdzięczna, że poruszył tak ważną materyą, historyą polskiego malarstwa, i zaczął od Poznańczyków. Z tej przyczyny uprasza najprzód o bliższą wiadomość o ś. p. Mielcarzewiczu, a gdyby to być mogło i o ważniejsze jego w sztuce pomysły. Nadesłane rysunki starać się będziemy oddać jak najdokładniej, aby i pod względem sztuki szanowni artyści, powierzający nam swe prace do ogłoszenia, zadowolnieni byli; lubownicy zaś sztuk pięknych prawdziwe mieli ukontentowanie. Wszelkie rysunki po ich użyciu na żądanie mogą być zwrócone bez najmniejszego uszkodzenia. Samo się przez się rozumie, że nie tylko nowoczesnych malarzów pomysły, ale równie wszelkie zabytki dawniejszych wieków, ważne pod względem sztuki, lub tylko jako pamiątki drogiej nam zawsze przeszłości, przez samę wdzięczność zachowane, znajdą przytułek w naszem piśmie, a może ochronę od wiecznej zagłady.

Kopernik, stał się zaszczytem i chlubą nietylko narodu polskiego, ale też całego rodzaju ludzkiego — powziąłem przed kilku laty projekt wystawienia na tem tak dogodnem miejscu obserwatoryum, podług planu obok wyrysowanego. Lecz niedostatek sposobów, z okoliczności teraźniejszych pochodzący, był przeszkodą wybudowania gmachu, któryby, podług anszlagu, więcej niż 2000 talar. kosztował. Życząc sobie jednak, by ten projekt przynajmniej w pomyślniejszym czasie, choć nie przezemnie — bo ja jestem śmiertelny, nauki zaś są wieczne! — mógł być do skutku przywiedzionym, i chcąc do tego tymczasem, ile jest w mojej mocy, torować drogę, upraszam wszystkich amatorów nauk, a szczególniej najbliższych nieśmiertelnej sławy Kopernika uczestników, aby ku wsparciu wspomnionego celu, każdy w miarę dobrej swej chęci, do zamurowanej pod oknem skarbony złożyć coś raczył, imię zaś swoje w otwartym do tego rejestrze łaskawych fundatorów przyszłego obserwatoryum płockiego zapisał.

Płock, w Maju 1810 roku.

Rose,
Rektor Gimnazyum Płockiego.“

Wiadomo, że piękny ten pomysł nie przyszedł do skutku. *Y.*

W górę serce!

Niosąc, jak Zbawca niósł na Golgotę,
Krzyż mąk i smutku, krocząc przez głóg,
Pomnij, że wszystko — radość, zgryzotę —
Ten sam wszechwładny zsyła nam Bóg.

Przypadku dziełem nie są dni twoje,
Mądry ożywia natury plan:
I trawy listek i planet roje
Dla świętych celów utworzył Pan.

Więc w górę serce! natomiast czoło
Pod Niebios tajne wyroki skłoń,
A okiem wiary spojrzyj wokoło...
Nad wszystkiem czuwa miłości Dłoń.

Pobłogosławisz kiedyś katuszy,
Wiecznego szczęścia witając świat,
I dziękczynienie zabrzmi ci w duszy
Za czyściec twoich na ziemi lat.

Ks. Wł. M. Dębicki.

„Śpij dziecinko już.“

Obrazek.

Na górze nad nimi, na drugiem piętrze, zmarło nagle nad ranem dziecko, małe ośmiomiesięczne stworzonko, które nie mówiło jeszcze ani „mama,“ ani „tata“, tylko umiało uśmiechać się malemi, jak wisienki usteczkami, a jeszcze więcej modremi oczkami, patrzącemi na świat Boży ze zdziwieniem.

— Umarło, umarło... — powtarzała wystraszona, zapłakana służąca, która drżąc cała, przybiegła do mieszkania na pierwszem piętrze i prosiła, aby państwo poszli na chwilę na górę, bo tam sobie rady dać niemogą.

Była zaledwie godzina czwarta rano, o wczesnej, mroźnej jeszcze wiośnie, kiedy człowiek nie rad porzucać ciepłej pościeli. Ubrawszy się jednak na prędce, poszli na górę.

Ojciec zmarłego dzieciątka biegał jak warjat po pokojach, matka, skulona na kanapce, załamywała ręce i zanosiła się od płaczu.

Kurcze wstrząsały ciałem młodej kobiety, stargane włosy spadały na mokrą od łez twarz. Od czasu do czasu wydawała przejmujące krzyki, wołając martwej dzieciny.

— Mój aniołek umarł! Niema już mojej Celinki! Nie, to nieprawda, to być nie może! Moje dziecko, moje dziecko!

Prostowała się, chwytając chciwie ustami powietrze i po chwili znów zanosiła się okropnym, spazmatycznym płaczem.

Gwałtem sprowadzono ją do mieszkania na pierwszem piętrze, obok dziecinnego pokoiku, do kuchni, gdzie już palił się ogień.

Tu sąsiedzi posadzili ją przed ogniem, okryli ciepłą chustką i nacierali czoło octem, gdyż mdlała prawie.

Pocieszali ją, jak mogli, słowami bez związku, więcej dlatego tylko, aby coś mówić, aby głos ludzki słyszała obok siebie.

Młoda kobieta długo jeszcze uspokoić się nie mogła. Cała jej postać skurczyła się, ręce przyciskała konwulsyjnie do piersi.

Zrobiło się cicho. Wszyscy zamilkli. Tylko ogień trzaskał od czasu do czasu.

Nieszczęśliwa matka przymknęła oczy, przestała łkać. Widać było, że zbiera z natężeniem myśli, ale naprożno. Machinalnie kiwała głową, jakby nie mogąc uwierzyć w swoje nieszczęście.

Na górze rozpoczął się ruch.

Słychać było spieszne kroki, otwieranie drzwi, przesuwanie mebli. Trzeba było zrobić miejsce na nowy sprzęt... na trumienkę, tak maleńką, że można było schować ją w byle kąciku, jak zabawkę... A jednak przed tym maleńkim sprzętem usuwało się wszystko. To życie pierzchało przed śmiercią...

Na pierwszem miejscu, w salonie, przygotowywano dzieciątku ostatnie posłanie, podczas gdy matka na dole z szeroko rozwartemi oczyma, siedziała skulona na stołku kuchennym.

Wtem, w sąsiednim pokoju odezwały się głosy dziecięce i wesoły śmiech... Matka zmarłego dziecięcia zerwała się z miejsca i uciekła. Przebiegła obok pokoju dziecinnego i wpadła do swego mieszkania. Teraz śmierć ustąpiła przed życiem.

Przez cały dzień na drugiem piętrze panowała cisza. Ruch w całym domu, wesoły śmiech dzieci, głośne rozmowy służących i hałas uliczny głuszyły płacz matki. Tylko przez otwarte w salonie okno, chłodne jeszcze promienie słońca rzucały jasne blaski na małą trumienkę.

Wieczorem z poza obłoków wypłynął na niebo księżyc i zajrzał do dziecinnego pokoju na pierwszem piętrze, gdzie na białych poduszeczkach spoczywały dwie jasne główki.

Przy łóżeczku młodszego dziecięcia siedział ojciec, matka czuwała nad starszem. Oboje czuli dziś dziwną potrzebę tulić do siebie ciepłe ciałka dzieci, czuć każdy ich oddech. Tam na górze, tak blizko ich dzieci, gościła śmierć!

Młodsza dziewczynka długo nie usypiała. Dzisiejsze zdarzenia wstrząsnęły ją i ciężyły w małej główce.

— Tatuśku! — mówiła, podnosząc do góry główkę — to mała Celinka na górze jest teraz aniołkiem?

— Tak, córuchno, ale śpij już!

— To ją do trumienki włożą, prawda? Już nie wyjdzie z niej nigdy, biedactwo!

— Ale za to jest u Bozi! Śpij dziecko.

— Kiedy nie mogę spać... Tatusiu, zaśpiewaj mi piosenkę, ale tę moją, wiesz: „Śpij dziecinko już!“ A Celince nikt już śpiewać nie będzie, nigdy!

— Nigdy, córuchno! Ona teraz śpi już na wieki...

— A tak, ale u Bozi... No, śpiewaj tatusiu!

Ojciec półgłosem, jąkając się, nucił:

„Śpij dziecinko, już!
Śliczne oczki zmruż!
Słyszysz piesek szczeka tam,
Deszczyk pada, grozi nam!
W bramie dziad wyciąga rękę,
Pies rozerwał mu sukienkę,
Aż biedaka bronił stróż...
Śpij dziecinko już!...“

— Tatusiu, a co jej dadzą na trumienkę?

— Kwiatki i róże białe...

— A kamień na grobie będzie?

— Będzie córuchno...

— A co będzie na kamieniu napisane?

— Ta piosenka, którą śpiewałem... Będzie napisana złotemi literami:

„Śpij dziecinko, śpij!
Słodko sobie śnij!“

— Ach, jak to będzie ładnie! To się dopiero będzie cieszyć mamusia Celinki.

— Będzie, będzie, ale teraz śpij już!

— Kiedy nie mogę. Mój tatusiu złoty śpiewaj jeszcze! Ale to samo... o piesku i dziadku...

Dwie małe rączynki wyciągnęły się błagalnie ku ojcu.

Wziął delikatnie rączki, schował pod kołderkę i znów półgłosem nucić zaczął.

Gdy usłyszał równy oddech dziecka, zamilkł i obejrzał się po pokoju.

W lustrze odbijała zwieszająca się u drzwi jasna portjera, która wydała się patrzącą, jakąś białą, wysoką postacią... Światło księżyca rzucało słabe blaski na ciemną podłogę, jednostajny chód zegara przerywał ciszę głęboką. Tak dziwny smutek wionął nagle na pokój, że spiesznie zwrócił spojrzenie na różową buzię dziecka... Spało spokojnie. Na półotwartych usteczkach spoczywał lekki uśmiech, jakby przez sen chciała dziecina powtórzyć ulubioną kołysankę:

„Śpij dziecinko, już!“ *M. P.*

MIŁOŚĆ BEZ GRANIC.

POWIEŚĆ ORYGINALNA,

osnuta na tle powstania narodowego z roku 1863-go,

napisana przez

Alberta Gorowskiego.

(Ciąg dalszy.)

— Owa, czemubym nie trafił, my mieszkamy niedaleko ztamtąd.

— Oddasz samej pannie — mówił Stanisław.

— Dobrze, proszę pana.

Trzeba się było wreszcie pożegnać. Pan Stanisław ściskał rękę poczciwego szewca. Szewc błogosławił mu i życzył rychłego i szczęśliwego powrotu.

— Niech Matka Najświętsza ma was w swojej najwyższej opiece, niech was strzeże od wszelkiego złego i pozwoli szczęśliwie powrócić.

Stanisław szedł za miasto, za nim szedł Michał z mantelzakiem na plecach. Za miastem stanęli, Stanisław patrzał w stronę Pragi, gdzie jego najukochańsza mieszkała, kiwał smutnie głową, wzdychał i mówił do siebie: kto wie, kto wie, czy wrócę, kto wie, czy ją zastanę taką, jaką ją zostawiam. Może miłość w jej piersiach zastygnie, może mnie więcej nie przyjmie w swoje ramiona.

Marzenia ludzkie rozwiewa wiatr; są one by liście drzewa w jesieni, lada powiew je strąca, szeleszczą smutnie w powietrzu i padają na ziemię, deszcz je płucze, ludzkie nogi wgniatają je w grudę, przysypie je biały śnieg zimy, a o młodej wiośnie nie zostanie z nich znaku.

Śniło się Maryi, że będzie stała z Stanisławem w kościele przed ołtarzem Boga, i że ksiądz ją stułą połączy z nim na wieki; śniło się jej, że Stanisław wyprowadzi ją drżącą ręką z kościoła, potem? potem u nóg jej klęczeć będzie i patrzeć będzie jasnemi oczyma w jej oczy, ona rękami obejmie jego głowę i położy ją na bijącem sercu, śniło jej się, że będzie bardzo, bardzo szczęśliwa.

Marya widywała siebie w bieli, z zieloną girlandą na głowie, widywała Stanisława z wiązanką najpiękniejszych kwiatów u piersi; śmiało się do niej życie. Było ono tak urocze, piękne, tak drżało dla niej rozkoszą, jak tylko w dziewiczej piersi drżeć może: on był przy niej i był związany z nią wiecznie — sen to cudowny.

Śniło się Maryi, że skoro ich ołtarz połączy, będą zawsze razem i razem. Wiosną będą się przechadzać po zielonej murawie, po dywanie witym z fiołków i pierwiosnków, będą śpiewały skowronki, zieloność będzie wonieć cudownie, niebo nie będzie zachmurzone, będzie się śmiało pogodą, złote słońce będzie świeciło, a ona przy nim będzie szczęśliwą.

Latem pod cieniem drzew liściastych będą się chronić od promieni słońca, strumyk będzie szemrać cicho, zdala słychać cichy głos kościelnego dzwonka i tęskny głos fujarki pastuszka, on głowę na jej piersi ułoży i nie będzie myślał o świecie, przy niej mu będzie rozkosznie — będzie szczęśliwy.

W jesieni będą siadywać przy kominku razem, słota będzie dzwonić kroplami deszczu o szyby okien, zawierucha będzie pomiatać po polach, oni będą spoglądać na świat schmurzony, ale te nie zawisną nad nimi, nic im nie zakłóci spokoju, wkoło nich będzie cisza, a burze będą ich kołysały do snu.

Cudownie śniła Marya.

Pani majorowa też śniła. Widywała ona ukochaną Maryjkę pod skrzydłem opiekuńczem męża. Kołysała ona w snach krzykliwe i zdrowe wnuki swoje; czasem zasępił jej czoło smutny obraz przeszłości i wspomnienie męża dzwoniło jej ponuro po duszy, ale śmiech srebrny Maryi i krzykliwe głosy wnucząt odganiały od niej smętne te widma. Z takim serdecznym trudem wychowała sobie tę jedyną córkę, od lat tylu i tylu była ona jedynym celem jej życia: trudno, by tak kochająca matka o jej szczęściu nie śniła, nie roiła dla niej szczęśliwej przyszłości.

Nie wyśniło się ni Maryi, ni matce.

Marya siedziała w dziewiczym swoim pokoiku z rozpuszczonemi włosami, z czerwonemi oczyma i rękami przyciskała serce. Była podobną do więdnącego kwiatu; jej białe skronie sine cieniowały żyłki, jej ręce drobne nabrały przezroczystej białości, pełne jej usta ból pomiął i zwinął, jej lica pobrudziły łzy.

Koło córki krząta się cicha matka i pogląda na nią trwożliwie.

— Nie rozpaczaj drogie moję dziecię — mówi do niej z miłością i całuje w czoło.

— Ja taka byłam szczęśliwa, matko; ja już myślałam, że mi nie może być smutno na świecie — mówi Marya i roztwiera rękę, w której trzyma papier pomięty i wygładza dłońmi ten papier i patrzy w czarne, łzami rozmoczone pismo i płacze.

— Nie rozpaczaj córko — cieszy matka płaczącą — Stanisław cię kocha, on by cię nie mógł nie kochać, ty taka dobra i piękna; mówił ci o swojej miłości nieraz, a on poczciwy chłopiec i nie kłamałyby jego usta, on wróci z wiosną, on z pewnością powróci do ciebie i potem już będziecie razem i nic was nie rozłączy więcej.

Słuchała Marya z uwagą, a po mowie matki jeszcze większy strumień łez wylały jej oczy.

— On nie wróci, nie wróci, tak mi mówi przeczucie, tak mi mówi serce moje; widzieć go więcej nie będę, on już przepadł dla mnie, ja w grób pójdę po nim.

Matka łagodziła córkę, jak mogła, starała się przerwać jej boleść i rozerwać jej myśli, czytała jej głośno modlitwy i jej samej kazała się modlić. Marya modliła się ustami a w sercu jej wzmagała się boleść. Matka mówiła jej o Bogu, o nicości ziemskiego żywota, o słabości ludzkiego uczucia, wskazywała jej na niebo i na przyszłe życie. Marya nie rozumiała słów matki, myśl jej czarne zalegały obrazy a serce jej zalegał ból wielki, któryby żadne pocieszenie nie wydołało zażegnać.

Matka stała długo nad córką z załamanemi rękami i szeptała modlitwy, a myślała ciągle: z nią tak będzie jak było ze mną przed laty, ból jej serce jak i mnie przepali — ulituj się nad wdowami, Ty Boże.

VI.

Hrabia Artur był to człowiek dziewiętnastego stulecia, człowiek nowej epoki.

Gdyby z grobu powstał człowiek starej daty i spojrzał na ten świat dzisiejszy, nie poznałby go z pewnością i nie poznałby dzisiejszych ludzi; dziś się wszystko zmieniło, z przeszłości nie zostało nic; mało kto rozumie i mało kto czuje jak ona wyglądać mogła.

Hrabia Artur był to wysoki, przystojny mężczyzna, miał długie angielskie bakenbarty i sztywne angielskie kołnierzyki, oczy miał przyćmione, usta jego wąskie bywały zaciśnięte szczelnie, czasem śmiały się sarkastycznie z ludzi. Czoło hrabiego Artura poczynały orać zmarszczki, życie powyrywało ciemne włosy z tego wysokiego czoła, że świeciło łysiną. Hrabia Artur ubierał się podług pierwszego żurnalu, na nogi wdziewał mu codziennie lokaj lakierowane paryzkie półbutki, wychodząc na świat zawdziewał własnoręcznie wysoki czarny cylinder na głowę, brał cieniuchną czarną laseczkę przez ciasną rękawiczkę do ręki i wywijał nią w powietrzu bez względu na głowy przechodniów.

Z porządku rzeczy wypada wspomnieć o przeszłości hrabiego Artura.

Urodził się w Podlaskiem z arystokratycznego ojca i arystokratycznej matki; odziedziczone po rodzicach imię wspomina nieraz z chlubą historya; jego przodkowie uświetnili je czynami oręża i obywatelską cnotą.

Hrabiego Artura niańczyła w dzieciństwie bona Francuzka, potem go uczył guwerner Francuz, matka wpajała w niego arystokratyczne zasady i przyuczała do zachowywania dobrego tonu, ojciec, namiętny myśliwy, był zajęty po całych dniach stajnią i psiarnią, i nie dbał wiele o syna, był przekonany, że ręce guwernera i matki urobią z niego należytego człowieka, takiego jak go świat mieć potrzebuje.

Czysta to ironia ten dzisiejszy świat i dzisiejsi ci ludzie! Komedya by mogła być z tego, gdyby pradziad hrabiego Artura przebudził się w grobie i poznał swojego prawnuka. Na wstępie przemówiłby do niego kwietną peryodą łacińską, którejby prawnuk nie zrozumiał wcale, pytałby go potem o sprawy publiczne, o które się ten wcale nie troszczył, chciałby potem poharcować z nim razem na dzikim rumaku, aleby mu prawnuk nie dotrzymał placu, bo wcale nie zaprawny do konia. Ba, gdyby mu potem przyszło z nim razem napić się maleńkim by naparstek kieliszkiem francuzkiego cienkosza, roztłukłby mu kieliszek o czaszkę i powiedziałby mu: *nefaria stirps!* i uciekłby z powrotem do swojego grobu, by nie patrzeć na odrodzonego potomka.

Już to dawne przeminęły czasy, my nierozumiemy tej dawnej przeszłości, my nie rozumiemy tego ducha, który od niej wieje. Dawne marsowe, poważne, kontuszowe postacie prezentują się naszym oczom, piorunujące gniewem, samowolnie tyranizujące słabszych, pijane garncami spełnianym węgrzynem, biczujące się i leżące krzyżem w kościele w post wielkanocny. To wszystko nosi dla nas cechę komicznej powagi, spoglądamy na to przetartemi cywilizacyą i postępem oczyma, stulonemi ramionami i mówimy z pobłażającym uśmiechem: rubaszni byli ci nasi ojcowie!

Fałszywe to zdanie! W tych postaciach rubaszności nie ma, jest w nich tkliwe czucie, wielkie serca goreją w ich piersiach męzkich, od nich wielkość wieje, wielkość nie efektująca, nie teatralna, ale wielkość kierująca wszystkiemi krokami, tak w cichem domowem, jak w wrzawliwem publicznem ich życiu.

Ironia czysta te miękkie dzisiejsze nasze czasy. Naśmiałby się do rozpuku zygmuntowski szlachcic, gdyby zaszedł w odwiedziny do wydelikaconych swych wnuków. Ba, mówią ludzie, że o ile nam dzisiaj zbywa na powadze, o tyle oświeceńsze nasze przetarte i tolerujące rozumy, poglądające na świat z wyższego stanowiska lekceważącej wszystko filozofii, sprowadzającej wartość wszystkiego, co nie z ziemi do zera, i wiodącej człowieka do ostatecznego wyniku, że w nim siedzi głupstwo.

I cóż komu z tego przekonania przyjdzie? czy mu ono da szczęście na ziemi, czy mu ono może bramy niebieskie otworzy? nie! z tem przekonaniem zaś osłabły nam duchy, zgnuśniały nam serca, skwaśniało nam życie i wyrodziła się w naszych żyłach krew dziadów w flegmę parweniuszowskiej cywilizacyi, głoszonej przez zamorskich półmędrków i kupców.

Wróćmy do hrabiego Artura.

Podróże po obczyźnie uzupełniły jego wychowanie. Salony i doświadczenia własne przetarły go powierzchownie, trochę pojmował, trochę rozumiał, nie miał wcale żadnych przesądów i kpił sobie ze słabostek ludzkich; przy takim poglądzie rzeczy nie robił sobie z niczem wiele skrupułów, uważał ziemię za hotel, w którym człowiek goszczący przechodzi z nicości do nicości, powinien używać wszelkiej wygody, że zaś urodził się przypadkiem hrabią, posługiwał się ludźmi bezwzględnie, korzystając z ich kelnerskiej submisyi jego jasnej mości.

Hrabia Artur po dłuższym pobycie za granicą, powrócił do domu, miał wówczas lat dwadzieścia i dwa, był ze wszech względów doświadczony zupełnie, powierzchowność miał imponującą i gładką; tam gdzie chciał, bywał poważny, tłumiąc mimowolny uśmiech. Matka była zadowolona dobrym tonem swego jedynaka, chwaliła go w oczy, po za oczy mawiała o nim z atencyą, obwoziła go po arystokratycznem sąsiedztwie, w drodze mawiała z nim wiele o ludziach i o okolicznych domach, była z nim otwartą i nie robiła z niczem sekretu. Ojciec czuł wielkie uszanowanie dla synowskiego rozumu, mawiał z nim o psach gończych, o sarnach, szarakach i wszelkiej leśnej zwierzynie, skarżył się przed nim, że mu się nie wiedzie stadnina, i że kuleje stara klacz Turczynka, zarazem dopytywał się u niego porady na zastarzałą pedogrę, która go od niejakiego czasu bez ustanku trapi, lecz syn z przyzwoitą grzecznością oświadczył wyraźnie, że mu zbywa zupełnie na wiadomościach medycznych i farmaceutycznych.

Fortuna rodziców hrabiego Artura nie była wprawdzie zredukowaną jeszcze do zera, ale była ona już na tej drodze, że podobna jej redukcya musiała koniecznie nastąpić, chyba by jaki szczęśliwy wypadek wstrzymał jej ruinę. Ojciec hrabiego Artura dostał znaczną ojcowiznę w spuściźnie, żona wniosła mu kilkadziesiąt tysięcy dukatów w posagu i w pierwszych latach małżeńskiego pożycia mieli istotnie z czego złocić swoje hrabstwo, cóż kiedy na świecie nie ma nic wiecznego, a majątek doczesny w rękach pańskich jest rzeczą znikomą; trudno też bo i wymagać, aby zapalony myśliwy i zawołany na całą okolicę koniarz, potomek hetmanów, miał myśl swą gospodarką zajmować, kłócić się z żydami i rządcą i chodzić zarówno z prostym ekonomem po polu. Niepodobną iście jest rzeczą, aby hrabina, wnuczka wojewodziny, nie zimowała przynajmniej kilka lat w Paryżu, nie jeździła co wiosny do Marienbadu lub na morskie kąpiele, tem bardziej, że jej osłabione nerwy wymagały zagranicznych wód i tylko dla pełnej kieszeni przystępnej kąpieli.

Wielka fortuna poczęła szczuplić, kosztował Paryż, kosztowały Włochy, kosztowały kąpiele, za granicą kłaniają się polskim hrabiom tak nisko, gdzie tu można spuścić z tonu i zaprzeć się wielkiego państwa!

Pan hrabia lubiał mieć doborową psiarnię i rasowe konie; takie amatorstwa pochłaniają tysiące; któż się zadziwi, gdy przy podobnym składzie rzeczy rok w rok przechodziły wioski z rąk hrabiego w ręce dorobkiewiczów. Potrzebował pieniędzy pan hrabia, więc zaciągał długi, potrzebowała pani hrabina, zaciągał też długi, a te rosły z każdym dniem w progresyi.

Jedynak wyjechał z guwernerem w podróż, jeźli już podróżować musiał koniecznie, musiał podróżować z pańska, a to wiele kosztuje.

Kiedy hrabia Artur z zagranicy do domu powrócił, interesa majątkowe rodziców stały w ogóle licho, na majątku ciężyły długi wielkie i trzeba było spłacać procenta, a te pochłaniały prawie wszystkie dochody, domowi, przyuczonemu do zbytku, trudno się było oszczędzać, tem bardziej, że trzeba było mydlić oczy sąsiedztwu, które przeczuwać zaczęło cały stan rzeczy i wypatrywało ciekawie rychło się w gruzy rozleci piękny pałac dumnego sąsiedztwa.

Hrabia Artur powróciwszy z zagranicy, miał, jak już powiedzieliśmy, polor wykończonego salonowca, był zręczny, zwinny i umiał nadrabiać miną, w obejściu z niższymi był dumny, z równymi poważny, dla płci pięknej był nadskakujący i grzeczny. Kobietom umiał się podobać i był wszędzie chętnie widziany, tu i owdzie wzdychano do niego niby do ideału, on na westchnienia odpowiadał westchnieniem i tym sposobem zawiązywały się czułe romanse; okolica cała wiedziała o każdym jego kroku i o każdym sukcesie w serduszkach podolskich piękności, płeć męzka zazdrościła mu szczerze, płeć piękna wiedziona żądzą rywalizacyi, wzdychała tem czulej do niego.

Pewnego pięknego poranku, miała matka z jedynakiem długą tajną konferencyę; matka przedstawiała, hrabia Artur się zżymał, matka poczęła prosić i wymogła czułością, że syn wszedłszy z nią w bliższe porozumienie przystał na jej propozycyę; chodziło tu na teraz o nic więcej tylko o ożenienie korzystne.

— Jesteśmy zrujnowani zupełnie — mówiła pani hrabina — jeźli tym sposobem nie pomożemy sobie, będziemy zgubieni. W tobie jedynie leży nadzieja ratunku, pomnij na twoje obowiązki, na twoje stanowisko i uczyń ze siebie ofiarę.

Hrabia Artur wahał się długo, wreszcie przyzwolił na wszystko. Z Warszawy sprowadzono nową karetę i nowy uprząż na czwórkę. Hrabia Artur kazał sobie podstrzydz bakenbardy, odświeżył się, że wyglądał jak woskowa figurka, zapalił cygaro, wsiadł z matką do karety i kazał jechać wyciągniętym kłusem.

Usposobienia wewnętrzne ludzi są tak rozmaite jak ludzie zewnętrznie. Ludzie składają się z jednych i tych samych części ciała, każdy ma głowę, ręce, ramiona i nogi, mimo tożsamości składowych części, powstają z nich najrozmaitsze całości. Klasyfikują ludzi na choleryków, flegmatyków, melancholików i sangwiników, t. j. ludzi, na których krew przeważa; taki podział jest niedorzeczny, podobnie jak żaden z ludzi nie rodzi się na świat bez nóg lub głowy, podobnie człowiek przychodzi na świat z usposobieniem, wiążącem się z tych samych części składowych co i usposobienie drugiego człowieka; mimo to powstaje z tych części rozmaita całość.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadkowe drzwi

Oryginalne tłomaczenie z angielskiego dla „Pracy“ przez **P. Otrys.**

(Ciąg dalszy).

— O, o, to było bardzo nierozsądnie, — zawołał Percival.

— Tak jest! Człowiek ten oskarżył mnie potem. Pan wiesz, że obrażać urzędnika to zła sprawa, wytoczono mi więc proces i teraz stało się położenie moje takiem, że nie wiedziałem sobie rady. Chcąc uniknąć wszelkich przykrych następstw, sprzedałem co mogłem i kupiłem za to dwa bilety do Ameryki — dla mnie i dla tej, która dziś miała zostać moją żoną! Chcieliśmy uciekać razem...

— Gdybym pana tak dobrze nie znał, — rzekł Percival poważnie — to mógłbym doprawdy sądzić, że jesteś człowiekiem nieuczciwym. Czy nie pomyślałeś, że takiem postępowaniem kompromitujesz nietylko siebie, ale i narzeczoną?

— Ach, Bóg mi świadkiem, że ja o niczem innem nie myślałem, tylko o niej! I tak zupełnie na oślep nie chciałem iść do Ameryki! Przeciwnie, miałem widoki na przyszłość dosyć dobre! Mój starszy brat jest tam lekarzem i posiada ogromną praktykę, przyrzekł mi więc, że się nami zajmie i że będzie mi pod każdym względem pomocnym.

— A jednak byłeś pan lekkomyślnym egoistą, że zamierzałeś żonę wystawiać na tak niepewną egzystencyę. Twoje gwałtowne, szalone zachowanie się dziś rano doprowadziło biedną dziewczynę formalnie do rozpaczy. Szczęście prawdziwe, że wieczorem poszedłem raz jeszcze na ulicę Felspert i że zabrałem Alicją do nas, inaczej Bóg wie, coby się z tą nieszczęśliwą istotą było stało!

— O, nie bądź pan tak surowym dla mnie, — prosił Maurycy pokornie. — W Ameryce byłbym stał się lepszym, zupełnie innym człowiekiem!

— Szkoda, że pan tutaj chcesz całą swoją karyerę zniszczyć jednym zamachem! Żal mi cię bardzo, ale więcej jeszcze pani Rodney!

— O Boże, nie myślę już wcale o tem, co uczyniłem! Zdaje mi się czasem, że szaleję gdy sobie to i owo uprzytomnię. A teraz jeszcze podejrzenie tego okropnego morderstwa i kradzieży, jakie na mnie ciąży!

— Doprawdy?

— Na nieszczęście, tak jest! Krok w krok za mną chodzi policyant przebrany po cywilnemu. Stoi on tu znowu przed domem i czeka, skoro wyjdę! Dziwię się nawet, że mnie dotąd nie aresztowano, ale czekają z tem pewnie aż do soboty, gdy prokurator wyda trupa zmarłej.

— Będziesz pan obecnym rozprawie sądowej?

— Muszę, bo otrzymałem już wezwanie.

— Staraj się więc tymczasem uspokoić nieco — i przyrzeknij mi, ze w przyszłości nie będziesz tak gwałtownym, bo szkodzisz sam sobie najwyżej. I jeszcze jedno: nie trzeba względem urzędników policyi być tak otwartym jak to dziś rano uczyniłeś. Jeżeli rzeczywiście podejrzenie padło na pana to jesteś sam temu winien — twoje szalone postępowanie zwróciło uwagę na ciebie!

— Będę się starał panować nad sobą, pan jesteś dla mnie tak dobry, ja wcale na to nie zasługuję. Serdeczność twoja i szlachetność...

— Daj pan pokój komplementom, nie traćmy czasu na nic! Miałem zawsze dla pana wiele życzliwości, więcej może, niż myślisz! Wiem, że jesteś mądry i zręczny, i że w głębi serca jesteś bardzo dobrym człowiekiem.

— Jeżeli pan jeszcze jedno słowo pochwały powiesz dla mnie, który tak mało zasłużyłem na to, zacznę płakać jak stara, kościelna baba!

— Maurycy był tak wzruszony, że zdawało się, że każdej chwili wybuchnie płaczem.

— Więc mówmy o poważniejszych rzeczach, — rzekł Percival spokojnie. — Chciałbym usłyszeć wszystko z własnych ust pana. Kiedy byłeś — wczoraj u pani Davorn?

— Około dziewiątej! Wiedziałem, że o tym czasie odchodzą lokatorzy do swoich pokoi. Pani Davorn była uwiadomioną o mojem przyjściu i czekała na mnie w saloniku na dole. Alicja znajdowała się tam również. Pani Davorn była niezmiernie wzburzoną i jak zawsze, dała mi jasno do zrozumienia, że mnie znieść nie może! Twierdziła też już poprzednio, że mi tylko o jej pieniądze chodzi, sama zaś była do nich nadzwyczaj przywiązaną i drżała na myśl utracenia ich.

— Nie można jej się dziwić — zbyt smutnego doznała pod tym względem doświadczenia. I cóż dalej?

— Dowiedziała się teraz o moim zamiarze osiedlenia się w Ameryce i chciała koniecznie, abym się tej myśli wyrzekł. Z początku mówiłem bardzo spokojnie i rozsądnie do niej, ale ona uniosła się okropnym gniewem, zarzuciła mnie obelgami i doprowadziła mnie do tego, że i ja straciłem wszelkie panowanie nad sobą. Pół godziny później wyszedłem z domu, na wpół oszalały... Alicja otworzyła mi drzwi, prosząc, abym nie tracił odwagi i nadziei i zapewniając mnie o swej niezmiennej miłości. Była ona gotową zaślubić mnie nazajutrz. Postanowienie to kosztowało ją pewnie dużo łez, ale nie cofnęła danego mi słowa!

— Biedna dziewczyna! Powiedziałeś pan więc, że około wpół do dziesiąty wyszedłeś z domu pani Davorn — od tego czasu nie byłeś tam już...

— Ach, jak możesz pan mnie o to pytać! — zawołał Maurycy, zrywając się z krzesła.

— Jesteś doprawdy niepoprawnym! Nie unoś się zaraz byle jakiem pytaniem! Mogłeś pan wrócić naprzykład po to, aby coś powiedzieć narzeczonej! Mogłeś zapomnieć czegoś!

— Mojej narzeczonej! Dziękuję panu za to słowo i nie zapomnę nigdy, jak dobrym i uprzejmym jesteś pan względem niej. Ale ja...

— Proszę — przerwał doktor Percival — zostańmy przy naszej sprawie. Więc jeszcze raz — po wpół do dziesiątej nie wróciłeś pan już do domu pani Davorn?

— Nie, dopiero dziś rano, po odejściu ztamtąd pana!

— Czyś pan kiedykolwiek leczył panią Davorn?

— Jedyny raz tylko. Jej domowym lekarzem był doktór Carson.

— Wiem. Więc raz leczyłeś ją?

— Tak, i to w poniedziałek. Gdy tam przyszedłem, miała właśnie gwałtowny atak kurczowy — stało się to zaś zupełnie niespodziewanie. Na jej wyraźne życzenie musiałem wejść do jej pokoju — i wtedy skarżyła mi się na ból głowy i wielką słabość, ale ponieważ kurcz szybko minął, przeto nie widziałem powodu do obawy. Wiedziałem, że jest bardzo nerwową i że cierpi często na ból głowy, zapisałem więc tylko proszku musującego — nie chciałem przecież wchodzić w drogę koledze Carsenowi.

— Sądzisz pan, że ów kurcz poniedziałkowy mógł być poprzednikiem ataku paraliżowego?

— Możliwem to jest, ale jak już mówiłem, kurcz minął bardzo prędko i nie wydawał mi się wcale niebezpiecznym. Nazajutrz czuła się też znowu zupełnie zdrową.

— Zdaje mi się, że pan miałeś głowę zanadto innemi rzeczami zajętą, aby zbadać dokładniej stan zdrowia pani Davorn. Obowiązek lekarski nakazywał ci to właściwie. Nie wiem, czy taką niedbałość można lekarzowi wybaczyć,

— Masz pan słuszność — rzekł Maurycy przygnębiony — ale ja teraz tak rozdrażniony, że nie mogę wypełniać sumiennie moich obowiązków. Czemu jednak pytasz pan o to, czy ów kurcz mógł być poprzednikiem paraliżu? znaleziona gębka z kloroformem wystarcza przecież zupełnie, aby wszyscy mnie podejrzywali o zabicie pani Davorn!

— Dlaczego?

— Poprostu dlatego, że przykre moje stosunki finansowe są ogólnie znane, że zamierzona ucieczka potwierdza wszelkie domysły, a w końcu, że każdy lekarz posiada kloroform i umie się z nim obchodzić! Zwyczajnego złodzieja nikt nie posądzi o to, aby kradł z pomocą środków usypiających.

— Ja znowu przeciwnego jestem zdania! A zresztą, miej pan więcej odwagi! Człowiek niewinny nie potrzebuje być tak przygnębionym i wzburzonym!

— Może, ale ten przeklęty policyant pozbawia mnie do reszty rozumu. Chociaż nie widzę tego, to czuję jednak, jak oczy jego są nieustannie we mnie utkwione. Gdyby mnie teraz aresztowano, co wcale nie jest niemożliwem, to oszalałbym kompletnie!

— Nie bądź pan dzieckiem! Uspokój się i wracaj do domu. Dam ci trochę bromu na uspokojenie nerwów. Staraj się zebrać myśli, abyś w sobotę mógł wystąpić jak człowiok rozsądny!

— Dreszcze mnie przechodzą, — szepnął Maurycy — gdy pomyślę o sobocie i o tem, co się dnia tego stanie...!

— Nie zapatruj się przecież na wszystko tak rozpaczliwie!

— Nie mogę inaczej! Ale, — dodał, wstając i podnosząc śmielej głowę — uczynię tak, jak pan chcesz! Pójdę teraz do domu — proszę pana tylko jeszcze o trochę bromu, abym mógł usnąć. Potrzeba mi odpoczynku, ja zaś nie posiadam żadnych środków usypiających!

— Najlepszym środkiem będzie to, co ci teraz powiem, — rzekł Percival z uśmiechem, kładąc mu rękę na ramieniu. — Wiesz pan, że w poważnych sprawach nie lubię żartować, mówię ci więc zupełnie na seryo: ani w sobotę, ani żadnego innego dnia nie zostaniesz aresztowanym za morderstwo, popełnione na pani Davorn. Bądź z Bogiem, mój przyjacielu!

ROZDZIAŁ TRZYNASTY.

Nareszcie nadeszła sobota, a zatem ów ważny dzień, w którym miało się odbyć badanie „sprawy Davorn.“ — Sala sądowa była tak publicznością przepełniona, że dużo ciekawych musiało odejść z niczem do domu Wszyscy nieomal mieszkańcy przedmieścia Clayfeld spieszyli, aby słyszeć cały przebieg tej zajmującej sprawy, i nie można im się było dziwić, bo od niepamiętnych czasów nie zaszło tu nic podobnego. Ciężka kradzież i morderstwo to przecież coś nadzwyczajnego w tej spokojnej części miasta! —

Oprócz tego — rozeszła się pogłoska, że w ciągu badania wyjdą na jaw bardzo ciekawe szczegóły, więc też z gorączkową niecierpliwością oczekiwano rozpoczęcia posiedzenia.

Jako świadków głównych wezwał sąd: pannę Rodney, doktora Evansa, doktora Percivala, obydwóch lokatorów zmarłej, Steinwortha i Vickerego, oprócz tego jeszcze inspektora policyi Brigesa i policyantów Metcalfa i Junga.

Po złożeniu przysięgi świadków i sędziów przysięgłych i po zbadaniu ciała pani Davorn, oświadczył przewodniczący, że doktór Percival jeszcze nie przyszedł i że później dopiero przyjdzie, gdy świadkowie będą przesłuchiwani.

Przewodniczącego nudziła widocznie cała ta sprawa, zawsze bowiem po kilku słowach odwracał głowę albo zasłaniał twarz ręką, aby ukryć ziewanie.

— Ponieważ słuchanie głównych świadków prawdopodobnie długo trwać będzie, — rzekł, przecierając oczy, — przeto zacznijmy zaraz od badania policyanta Metcalfa.

I spuściwszy głowę, ziewnął tak, jak gdyby chciał połknąć akta, leżące przed nim.

Metcalf zbliżył się do stołu i opowiedział wszystko w krótkich, jasnych i zwięzłych słowach.

Gdy skończył i zamierzał wrócić na swoje miejsce, podniósł się jeden z przysięgłych i stawił mu kilka pytań, odnoszących się przeważnie do drzwi pokoi Steinwortha i Vickerego.

— Czy to możliwe — mówił — aby się ktoś mógł sam zamknąć w jednym z tych pokoi?

— Nie, — odrzekł Metcalf stanowczo — to jest zupełnie niemożliwe! Żaden z tych panów nie może zamknąć drzwi na klucz od strony pokoju.

— W takim razie trzeba by nam obejrzeć tak dziwnie skonstruowany zamek — prosił sędzia przysięgły.

— Tak, tak, później, — odpowiedział przewodniczący niecierpliwie.

Teraz wezwano Junga, który z dumnie podniesioną głową stanął przed prezydentem.

Nie powiedział on nic nowego, tylko potwierdził w części zeznania Metcalfa, ale był również tego zdania, że drzwi na wewnątrz zamknąć nie można. Idąc jednak dalej, chciał na własną rękę wytłumaczyć sędziom przysięgłym, w jaki sposób Vickery, z pomocą wspólnika, popełnił morderstwo, i już otwierał usta, gdy przewodniczący kazał mu milczeć i wrócić na miejsce.

Teraz przyszła kolej na inspektora policyi Brigesa.

Zebrana publiczność nie śmiała nawet oddychać — od tego świadka spodziewano się czegoś nadzwyczajnego! Ale przykre rozczarowanie czekało ciekawych — Briges bowiem nie wiedział nic więcej, jak policyanci. Z tem wszystkiem szepnął jeden z przysięgłych swemu sąsiadowi, że policya poczyniła ważne jakieś odkrycia, i że jest już na właściwej drodze ujęcia złoczyńcy. Dlatego też przedłuża przewodniczący umyślnie słuchanie świadków.

Gdy Briges skończył swe zeznania, wsunął się niepostrzeżenie detektyw Goring na salę i usiadł za jednym z filarów, zasłaniającym go od spojrzeń ciekawej publiczności.

Teraz rozpoczęło się badanie głównych świadków, z których pierwszym był Steinworth.

Młodzieniec ten patrzał zupełnie spokojnie w prokuratora, wymienił swoje nazwisko i zajęcie i odpowiadał z wyszukaną grzecznością na wszystkie pytania przewodniczącego.

— Opowiedz nam pan, co wiesz o wypadkach w nocy z 9 na 10 października. Nie zauważyłeś czegoś podpadającego? — spytał prokurator.

Steinworth poruszył przecząco głowę i zaczął prędko i swobodnie:

— Około dziewiątej poszedłem do mego pokoju. Poprzednio oznajmiłem pannie Rodney, że zamierzam wyjechać nazajutrz o wpół do siódmej rano, dostałem bowiem krótki urlop i chciałem go przepędzić w Devonshire. Aby nie sprawiać pani Davorn ambarasu, powiedziałem jej, że kawę wypiję na dworcu. Usnąłem bardzo wcześnie tego wieczora, a że śpię mocno, przeto w nocy żadnego szelestu nie słyszałem. Obudziłem się zaraz po piątej, ubrałem się szybko i gdy chciałem wyjść z pokoju, zauważyłem ku memu niezmiernemu zdumieniu, ze drzwi były zamknięte. Ponieważ dzwonka w mojej sypialni nie ma, zacząłem pukać do drzwi i wołać, aby mi otworzono, myślałem, że pani Davorn, albo panna Rodney usłyszą mnie. Ale nie otrzymałem żadnej odpowiedzi! Otworzyłem więc okno i pierwszym przechodniem, którego na ulicy zobaczyłem, był policyant Metcalf!

To było wszystko, co Steinworth mógł zeznać.

Przystojny młodzieniec i jego wytworne maniery wywarły jak najlepsze wrażenie tak na sędziach przysięgłych, jak i na całej publiczności.

— Jeszcze jedno pytanie — odezwał się przewodniczący niedbale — policyanci i pan twierdzicie, że niemożliwem jest otworzenie drzwi z pokoju. Czy pan sądzi, że nie dałoby się to jednak zrobić w jakikolwiek bądź sposób?

— Nie wiem, bo nigdy tego nie próbowałem — odrzekł Steinworth — sądzę przecież, że to istotnem niepodobieństwem. Uważam zresztą fakt ten za prawdziwe szczęście, ponieważ każdy, kto w domu tym mieszka, mógłby się znaleźć w bardzo nieprzyjemnem położeniu. Ja sam czuję to i cieszę się, że byłem uwięzionym w moim własnym pokoju.

Szmer zadowolenia rozległ się po sali, otwarta odpowiedź Steinwortha podobała się publiczności.

Gdy Steinworth umilkł, wstał prokurator i zwracając się do przewodniczącego, rzekł uprzejmie:

— Przypuśćmy nawet, że świadek stojący przed nami, nie mógł się zamknąć sam w pokoju. Niechcąc mu bynajmniej ubliżać, muszę zauważyć, że staramy się usilnie o wyjaśnienie tej ciemnej sprawy i, że dlatego należy zbadać ściśle, czy jakaś osoba trzecia nie mogła zamknąć pana Steinwortha lub Vickerego.

Przewodniczący podniósł głowę.

— Mówiłeś pan — rzekł prokurator do Steinwortha — że owej nocy żadnego podejrzliwego nie słyszałeś szelestu?

— Żadnego.

— Byłoby możliwem, abyś pan się był spuścił oknem i wrócił tą samą drogą do twego pokoju?

— Nie wiem, zdaje mi się jednak, że nie mógłbym tego wykonać.

— Czemu?

— Przyznam się szczerze, że o takiej próbie nigdy jeszcze nie myślałem. Gdybym miał podobną taką wycieczkę odbyć, to musiałbym być albo atletą, albo artystą trapezowym, a ja niestety sztuk takich nie umiem. Nie pojmuję, w jaki sposób bez złamania karku, miałbym się dostać z góry na dół i z dołu na górę! Zresztą przy oknach moich znajdują się dosyć słabo przybite, cienkie deseczki do kwiatów, policyanci wspomnieli już o nich, jeżeli się nie mylę — te deseczki więc musiałyby w razie takiej próby być połamane lub co najmniej uszkodzone. Jakieś ślady musiałyby bądź co bądź pozostać na murze.

— Nie ma śladów na deseczkach?

— Nie wiem!

— Inspektor Briges zeznał pod przysięgą, że nic nie znalazł — przerwał przewodniczący.

— Uważam to za koniecznie potrzebne — odezwał się najstarszy z sędziów przysięgłych — aby kilku z nas obej-

rzało dokładnie miejsce wypadku, zanim sprawę dalej prowadzić będziemy.

— Owszem — odrzekł przewodniczący — przytłumiając ziewanie — chociaż nie widzę powodu, bo zeznania świadków zgadzają się zupełnie. Pan Steinworth ma zresztą słuszność — nikt nie mógłby wyjść oknem i wrócić niem na górę bez zostawienia wyraźnych śladów. Najlepiej więc nie zwracać uwagi na okno, ale — jak panowie chcecie. Możemy przejrzeć raz jeszcze cały dom, może nam się uda znaleźć jakiś punkt oparcia!

Po tych słowach zaczął przewodniczący przeglądać znowu akta, jak gdyby go cała ta sprawa nic już nie zajmowała i ziewnął częściej, niż poprzednio.

Prokurator zwrócił się znowu do Steinwortha.

— Mówiłeś pan, że nie wychodziłeś z twego pokoju od dziewiątej na wieczór aż do następnego dnia do szóstej rano, to jest do chwili, w której policyant Metcalf otworzył ci drzwi.

— Tak jest!

— Wiedziałeś pan, że w domu znajduje się znaczna suma pieniędzy?

— Nic o tem nie wiedziałem.

— Pracujesz pan w banku „Continental?"

— Tak!

— Dnia 8 października byłeś pan w banku, w którym pani Davorn złożyła swój majątek, aby prezentować tamże wysoki czek z polecenia pańskiej firmy?

— Tak!

— Czyś pan wówczas nie widział tam pani Davorn, stojącej przy kasie?

— Nie!

— Nie wiedziałeś pan, że zmarła odbierała tego dnia cały swój majątek z banku?

— Nie!

— Przeszedłeś pan kilka pokoi bankowych, przechodziłeś koło kasy, dnia 8 października przed południem, przypominasz to sobie?

— Tak!

— O której godzinie?

— Około jedenastej.

— Nie mógłbyś pan przysiądz, że wszedłeś do banku dziesięć minut po jedenastej?

— Może być! Nie przypominam sobie tego tak dokładnie.

— Dobrze. Skończyłem pytania — rzekł prokurator, siadając za stołem.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY.

Gdy przesłuchiwanie Steinwortha zostało ukończonem, wezwano na świadka Alicyę Rodney. Uwaga całej publiczności zwróciła się teraz na nią.

Młoda dziewczyna była niezmiernie wzruszoną i niespokojną. W jej przekonaniu byli wszyscy zgromadzeni wrogami, którzy usiłowali zgubić ją i Maurycego. Narzeczonego nie widziała już od czwartku rano, ponieważ doktor Percival orzekł, że lepiej będzie, gdy się zobaczą dopiero po przesłuchaniu.

Zeznania Alicyi polegały na opowiedzeniu faktów, znanych nam już dobrze, a zaszłych pomiędzy wieczorem w środę a ranem w czwartek. Dziwiła się przytem sama, że pomimo szalonego strachu mogła mówić tak spokojnie i znieść śmiało spojrzenia ciekawej publiczności. Oświadczyła więc, że dnia poprzedniego, wieczorem, pozamykała tak starannie wszystkie okna i drzwi jak zwykle, zanim się udawała na spoczynek. Doktor Maurycy Evans był w domu ciotki około dziewiątej i mniejwięcej pół godziny później wyszedł, potem zamknęła za nim drzwi frontowe i poszła do swego pokoju. Przechodząc koło sypialni ciotki, zauważyła, że drzwi są tylko przymknięte, ale to wcale jej nie zdziwiło. Drzwi lokatorów nie dotknęła nawet tego wieczora.

— Nie słyszałam też w nocy żadnego szelestu — mówiła dalej — a że pracowałam dużo przez cały dzień, przeto usnęłam zaraz i spałam bardzo mocno. Na drugi dzień rano zbudziło mnie silne dzwonienie i uderzanie we drzwi. Podczas kiedy się szybko ubierałam, przypomniałam sobie, że pan Steinworth chciał odjeżdżać o wpół do siódmej, myślałam zatem, że zostawił jakiś przedmiot i że wraca po niego. Pobiegłam jednak najpierw na górę, chcąc się przekonać, czy pan Steinworth rzeczywiście już wyszedł, ale widziałam, że drzwi jego pokoju zamknięte. Nie ruszyłam klucza.

Alicya umilkła na chwilę i otarła dwie wielkie łzy, spływające jej po twarzy.

— Poprzedniego wieczora — zaczęła znowu — sprzeczałam się z ciotką i dlatego chciałam teraz najpierw iść do niej. Drzwi były tak samo przymknięte jak wczoraj, myślałam więc, że ciotka już wstała i weszłam do jej pokoju. Ujrzałam ją sztywną i zimną...

— Czy pani Davorn ma więcej krewnych? — zapytał najstarszy z sędziów przysięgłych.

— Zdaje mi się, że nie.

— Zostawiła testament?

— Nie wiem.

— Pani Davorn wyszła na miasto 8 października przed południem, nieprawdaż? — rzekł prokurator.

— Tak!

— Wiedziałaś pani, po co?

— Tak, niepokoiła się wielce o pieniądze, które złożyła w banku.

— Więc poszła, aby je ztamtąd odebrać?

— Tak!

— Czy wszystkie te pytania są tu w ogóle potrzebne? zapytał prezydent. Słyszymy ciągle tylko o pieniądzach a nie o zmarłej, która nas przecie więcej interesuje.

— Przekonasz się pan wnet o potrzebie stawionych pytań, odrzekł prokurator stanowczo.

— Mniejsze o to!

I prezydent pochylił się znowu głęboko nad aktami. Z tem wszystkiem nudziła go sprawa ta coraz więcej i teraz ziewał już jawnie, nie zakrywając nawet ust ręką.

Ziewanie, jak wiadomo, jest rzeczą zaraźliwą. Sędziowie przysięgli poczuli też wnet nieprzezwyciężoną chęć naśladowania przewodniczącego, i chociaż się z tem ukrywali jak mogli, to wkrótce jednak opanowało ich takie znużenie, że zaledwo jeszcze słyszeli dalsze pytania prokuratora.

— Czy pani Davorn powiedziała pani, że zamierza zabrać pieniądze z banku?

— Tak!

— Mówiła o tym zamiarze innym jeszcze osobom?

— Nie, ja przynajmniej nic o tem nie wiem.

— Gdy wróciła do domu, miała pieniądze przy sobie?

— Tak, pokazała mi rulony złota i banknoty — złoto było zawinięte w osobnej paczce. Powiedziała, że to obecnie cały jej majątek i, że oprócz tego nie posiada już nic więcej.

— Wiesz pani, co z pieniędzmi uczyniła?

— Włożyła je w szkatułkę, którą wstawiła w szafę, w swoim pokoju.

— Byłaś pani przytem obecną?

— Tak!

— I zresztą nikt inny?

— Nikt!

— Pani Davorn lękała się bardzo o swój majątek?

— Bardzo! W ostatnich latach dużo straciła pieniędzy, dlatego obawiała się ciągle, że i resztę stracić może!

— Czy oprócz zmarłej i pani nikt nie wiedział o tem, że znaczna ta suma znajduje się w mieszkaniu?

Alicya zawahała się z odpowiedzią.

Czuła ona, że pytanie prokuratora zawiera podejrzenie na Maurycego, i mimowoli podniosła oczy, aby poszukać ukochanego.

Młody lekarz stał oparty o filar, i pomimo sinej niemal bladości, jaka twarz jego pokrywała, patrzał spokojnie na prokuratora i narzeczoną.

— No i cóż? Czekam zawsze jeszcze na odpowiedź, odezwał się prokurator, uderzając lekko palcem w stół.

Alicya zebrała całą swoją odwagę i rzekła cicho:

— Oprócz ciotki i mnie — wiedziała o pieniądzach jeszcze jedna osoba — ja sama powiedziałam o tem...

— I któż to jest?

— Doktor Evans.

— Maurycy Evans!

— Tak!

— Dziękuję pani — rzekł prokurator uprzejmie. — O więcej pewnie już pytać nie będę.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Pogadanka naukowa.

(Cudowne światło.)

W życiu codziennem narzuca nam fizyka coraz więcej i natarczywiej swe prawa. Stokrotne ich zastosowanie na każdem polu zmusza nas, jeźli dotrzymać chcemy kroku cywilizacyi i rozwojowi świata, do zapoznania się z tą tak świetnie rozwijającą się nauką. Każdy z nas musi po dziś dzień być mniej lub więcej fizykiem, tj. umieć opanować siły natury, które nas, jeźli zdołamy je ująć i zużyć, może raz kiedyś uwolnią od tych małostkowych, materyalnych udręczeń życia. Tam, gdzie w laboratoryum fizyka tylko małe światełko błyszczy, widzimy jakby przez szczelinę zamkniętych jeszcze bram to nowe coś, co ludzkości niewyczerpane dobrodziejstwa przynieść może.

Takiem światłem, co nas w przyszłości uszczęśliwić ma, są promienie Becguercla, które właściwie cudem wszystkich fizycznych cudów nazwać można. Krótko po promieniach Röntgena odkryte, były one przez trzy lata przedmiotem badań subtelnych fizyków, którzy posiadają owe zagadkowe substancye, droższe po dziś dzień niż dyamenta.

W pudełeczku ołowianem, szczelnie zamkniętem, widzimy ślady owego cudownego płynu. Pudełeczko błyszczy w ciemnym pokoju światłem tajemniczo-zielonawem, jak błyszczy robaczek świętojański, a choć się oczy zamknie, to się je jednak widzi, bo promienia jego tak jak promienia Röntgena przechodzą przez wszelkie ciała, przez ołów, przez skórę i mięso powiek. Ale owe cudowne światło nie grzeje, nie potrzebuje żadnego oleju, żadnego powietrza, wogóle niczego, by światło utrzymać, bo przez ołów chyba nic dojść nie może. Mimoto świeci ów zupełnie zamknięty płyn w laboratoryum wynalazcy jego, Becguercla od r. 1896 bez przestanku i bez wszelkich zmian intenzywności światła. Temu, co zna prawa przyrody, wydaje się zjawisko to może więcej zagadkowem, niżli laikowi, bo zdaje się obalać fundament, na którym przez setki lat przyrodnicy prawa natury opierali.

Fundamentem tym jest prawo utrzymania siły. Podług niego żadna siła nie ginie i żadnej nie można stworzyć. Siła razem z materyą była od początku świata i wędrowała z nią z miejsca na miejsce, zmieniając przytem tylko zewnętrzną swą postać. Jeźli komu coś dam, staję się o tyle uboższym; promienia Becguercla zaś dają nam światło, a mimo to nie są uboższymi, jeszcze więcej, wydają nieustannie z siebie elektryczną energię. Jeźli z elektryzującej maszyny elektryczność w postaci iskier świszcząc przechodzi, to tylko potrzeba się zbliżyć z pudełeczkiem ołowianem, mieszczącem w sobie ów płyn, a natychmiast iskry giną i prąd elektryczny bez szelestu przechodzi. Powietrze naokoło staje się przewodnikiem elektryczności i to nawet na dość odległą przestrzeń. Dlatego też roszczą sobie fizycy nadzieję, iż zdołają użyć tę cudowną właściwość owych promieni do telegrafu bez drutu.

Promienia Becguercla wydają z siebie negatywną elekryczność, którą możnaby ująć i zamienić w stały prąd elektryczny tak, jak z bateryi galwanicznej. Gdybyśmy więc do dyspozycyi mieli dość wielką ilość owej cudownej substancyi, moglibyśmy wtenczas w bieg wprowadzić maszynę dynamiczną, a owa substancya nie straciłaby przytem nic na energii. Nie potrzebowalibyśmy wtenczas żadnej parowej maszyny, żadnych węgli, — mielibyśmy jednem słowem — „perpetuum mobile.“

Wszak to niepodobnem, powiemy wszyscy! Gdzież jest więc błąd w naszych poszukiwaniach, w naszych konkluzyach! Pytanie takie zajmuje wszystkich badaczy. Dotychczas odpowiedzi pewnej nie dano. Przypuszczamy, że pomiędzy obecnie znanemi prawami natury, musi być jeszcze jakaś możliwość, która, jeźli w rzeczywistości istnieje, daje szeroką perspektywę do użycia tej nowej siły, która ujęta obecnie w formie płynu działa.

Znamy prawo natury, które dotychczas nie zna wyjątku, lecz u której takowy jest możliwy, jak przypuszczają to znani fizycy, naprzykład Helmholtz: „że ciepło może tylko z ciała cieplejszego na zimniejsze przechodzić.“ Gdyby ciepło było płynem, bo za taki uważano je do połowy ośmnastego stulecia, to wtenczas wyjątek byłby wykluczony, gdyż podobnie jak woda nie płynie pod górę i płynąć nie może bez zewnętrznej siły, tak też i ciepło niemogłoby z ciała zimniejszego przechodzić na cieplejsze. Atoli poznano, że ciepło polega na wewnętrznem poruszaniu maleńkich ciał, z których składa się świat cały, a które nazywamy molekułami. W molekułach tych poruszają się jeszcze mniejsze cząstki, które atomami nazywamy, tak jak poruszają się planety obok słońca. Te atomy, które przebiegają większą przestrzeń, odpowiadają wyższym stopniom ciepła. Poruszanie zaś całości jako molekułu oddziaływać musi na sąsiedni molekuł i to wyrównując z nim swe poruszania tak, że bieg pierwszego się zwolnia a zaś drugiego się zwiększa, co oznacza, że temperatury się wyrównywają. Można więc przypuszczać, że poruszania molekularne czasami tak się układają, że jedna część robi poruszania coraz mniejsze działając na drugą część, która robi poruszenia coraz większe. Ta ostatnia zaś przy odpowiedniem powiększeniu drgań przechodzi wreszcie w stan świecący i wtenczas wydaje z siebie zyskaną energią, druga zaś część molekuł, która coraz mniejsze robi poruszania, może ginącą powoli energią znowu od sąsiedztwa uzyskać, tj. swoją niższą temperaturę z sąsiednią częścią wyrównać. W ten sposób oddziaływania wzajemne dotychczas jeszcze nie zauważyliśmy i jest to kwestya nierozwiązana czy w tym cudownym płynie poruszania tak się odbywają. Jeśli one tak rzeczywiście się odbywają, to wtenczas znaleźlibyśmy drogę, która nas poprowadzić może do niewyczerpanego źródła siły, która jest w stanie polepszyć los ludzkości i tak już obarczonej pracą.

Ciepło jest praca. Każdy stopień ciepła zawarty w kilogramie wody odpowiada pracy, która jest w stanie podnieść jeden kilogram o 428 metr. w górę. Ile to kilogramów wody, a temsamem ile siły znajduje się w morzach. Na lat milion możnaby ową siłą wszelkie prace wypełnić, które teraz ciążą na barkach ludzkości. Użytkujemy siłę ciepła, składaną przez tysiące lat w pokładach węgla, ale biedni ludzie muszą je wydobywać z głębi ziemi. Morza zaś wydając nam swą siłę niepotrzebowałyby być zimniejszemi, bo słońce ma ciepła dosyć, aby braki owe przez swe promienia uzupełnić. Naturalnie oszczędzając własne siły kosztem ciepła wewnętrznego systemu świata, skracamy o lat kilka, a może i kilkanaście żywotność jego, bo ogólna temperatura zmniejszałaby się wtenczas prędzej; ale przypuszczam, że spokojnie możemy ująć kilka lat przyszłym tysiąca stuleci. Taką doniosłą perspektywę roztacza przed nami ów mineralny robaczek świętojański w swem ołowianem więzieniu, a dzierżąc i mieszcząc w sobie potęgę wszechludzką i zagwarantowane do niej prawo, — prawo, które się po dziś dzień monetą, brzęczącą zdobywa — czeka chwili, by swą siłę materyalną uogólnić i każdego uszczęśliwić, jak uszczęśliwia każdego światło słoneczne — a wtenczas nie potęga pieniędzy, ale potęga ducha stanowić będzie różnicę pomiędzy ludźmi.

A teraz słów jeszcze kilka o odkryciu nowej cudownej substancyi.

W górach czeskich, w pobliżu miasteczka hutniczego „Joahimsthal“ wydobywa się czarno błyszczący minerał, który zawiera w sobie małe cząstki „uranu“. W uranie tym odkrył Becguercl owe zagadkowe właściwości. Po nim znaleźli Polacy, państwo „Curie“, w tym samym czarno błyszczącym minerale dwa nieznane dotychczas elementa, z których pierwszy nazwano na cześć naszych rodaków polonium a drugi radium. I jeden i drugi mają te same właściwości co uran tylko w daleko wyższym stopniu. Niestety owe tajemnicze elementa w stanie zupełnie czystym wydobyć nie można. Są zwykle połączone z innemi elementami i mimowoli zachodzi pytanie, czy w owem połączeniu elementów nie szukać należy tych dziwnych właściwości.

Reasumując wszystko razem musimy uwierzyć, że odkryliśmy zupełnie nową formę działania siły natury, którą porównać by można z odkryciem elektryczności i magnetyzmu w wiekach starożytnych. Jak zagadkowem i dziwnem wydawać się musiało wtenczas ludziom, kiedy trzymając w ręku magnetyczny kruszec żelaza widzieli wydobywającą się z niego siłę, działającą zupełnie przeciwnie ogólnej sile ciężarnej, siłę, która nigdy się nie wyczerpała, która nawet na sąsiednie kruszce żelazne oddziaływała. Setki przeszły lat, a znano tylko żelazo jako posiadające siłę przyciągającą i użytkowano ją w ciasnych tylko granicach; podczas kiedy dziś elektromagnet zapełnia wielką część nowożytnej techniki. Czy ta nowa siła owej cudownej substancyi, której niestety dotychczas tylko kilka gramów posiadamy, ludzkości większe i lepsze przyniesie korzyści niż elektryczność, któż to dziś przewidzieć może?

My Polacy możemy być dumni z tego, że nasi rodacy już przy odkryciu tej siły takie zaszczytne zajęli stanowisko. Może poszczęści się im wydobyć wreszcie owe skarby ukryte z ziemi i zużyć je dla dobra naszego, dla dobra ludzkości.

Leon Kantak,

laboratorium politechniki w Charlottenburgu

W kopalni węgli kamiennych.

(Do illustracyi albumowej.)

Praca górników należy bez zaprzeczenia do prac najuciążliwszych, gdyż górnik głęboko pod ziemią w pocie czoła pracować musi na kawałek chleba, przyczem narażony jest każdej chwili na największe niebezpieczeństwa, o czem świadczą liczne katastrofy, wydarzające się w kopalniach węgli. Woda, zalewająca kopalnie, i gazy trujące, oto największe górnika wrogi, czyhające na jego śmierć, mianowicie gazy łatwo zapalne powodują często straszne eksplozye i ścielą trupem całe szeregi górników. By ich uniknąć, jest zaopatrzony każdy górnik w t. zw. lampkę bezpieczeństwa w ten sposób skonstruowaną, iż niezwykłem drzeniem i migotaniem światła przestrzega górnika przed grożącem niebezpieczeństwem.

Nasza illustracya przedstawia górników pracujących w szatach świątecznych, ponieważ zapowiedziane są odwiedziny wysokiego dostojnika. Odzież ich przy pracy nie jest naturalnie tak wykwintną, jest pojedyńczą, wygodną, a przedewszystkiem praktyczną.

—ski.

†

Nekrologia.

Dnia 15-go lipca umarł w Paryżu rodak nasz, znany i powszechnie tam szanowany malarz-artysta

Władysław Ciesielski.

Na wystawie krajowej rólniczo-przemysłowej oraz sztuki polskiej w Krakowie 1887 uzyskał dyplom honorowy jako najwyższą nagrodę za obraz „Droga samotności.“ Piękny jest także obraz jego „Dla małych dzieci Polski, Litwy i Rusi,“ przedstawiający królową Jadwigę i Jagiełłę przed ołtarzem pogańskim na Litwie; wiele innych znajduje się w muzeum Narodowem w Rapperswylu, dla którego też największą część majątku swego zapisał.

Krótko przed śmiercią odezwał się po długiem milczeniu do kuzyna swego, Ignacego Maciejowskiego, właściciela Polanowa pod Powidzem, pragnąc przybyć tam dotąd. S. p. Władysław nie mógł się doczekać wyjazdu z obczyzny, gdzie mu się pobyt już sprzykrzył i tak bardzo tęsknił do ojczystego kraju, którego niestety już oglądać nie miał — zachorował nagle i zamiast tak bardzo wyczekiwanego gościa nadszedł do Polanowa smutny telegram o jego śmierci.

Zacny, prawy mężu, gorliwy patryoto, którego całe życie było tą „Drogą Samotności“ spoczywaj słodko na obcej ziemi a duch Twój wzniosły niechaj uleci ku krainie niebieskiej, gdzie się kończy wygnanie i tęsknota!

Zwłoki ś. p. Władysława spoczywają na cmentarzu w Montmorency w t. zw. grobach polskich, czyli zasłużonych Polaków — obok grobów Adama Mickiewicza, Juliana Ursyna Niemcewicza, Władysława, Zamoyskiego, Delfiny Potockiej i wielu wielu innych.

Pogrzebem całym zajął się Komitet Narodowy i przyjaciele jego a mianowicie adwokat i Dr. prawa p. Krypski i p. Szawklis (znany jako jeden z pierwszych założycieli towarzystw polskich w Berlinie i innych miastach) a familię reprezentował pan Ignacy Maciejowski z Polanowa i siostrzeniec malarz-artysta Brzeski-Demézy.

M. M.

* * *

S. p. Edward Leo,

długoletni redaktor „Gazety Polskiej“, umarł dnia 22-go b. m. Śmierć zaskoczyła go w Sosnówce pod Warszawą, gdzie zmarły szukał odpoczynku i ukojenia w dotkliwych cierpieniach, które go oddawna trapiły.

Ś. p. Edward Leo, urodzony w styczniu 1829 roku, syn d-ra medycyny Augusta Leopolda Leo, znanego w piśmiennictwie lekarskiem polskiem i zagranicznem, początkowo poświęcił się zawodowi prawniczemu. Był mecenasem i obrońcą przy senacie, radzcą prawnym kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, Terespolskiej, warszawskiego Tow-a ubezp. od ognia, kilku wybitnych domów bankowych i instytucyi publicznych. Rozległa ta praktyka prawnicza nie przeszkadzała jednak ś. p. Leowi rzadkie wolne chwile poświęcać studyom publicystycznym, do których miał szczególne upodobanie. Skłonności te ostatecznie tak przeważyły, a pierwsze próby o tyle zjednały mu rozgłos, że w r. 1874 ś. p. Edward Leo został powołany na redaktora „Gazety Polskiej“, będącej wówczas, jak wiadomo, własnością ś. p. Leopolda Kronenberga.

W r. 1897 zmarły złożył obowiązki redaktora, — „Gazeta Polska“ przeszła na własność i pod redakcyę obecnego redaktora i wydawcy p. Jana Gadomskiego. Wiek oraz pracowity żywot sterały siły ś. p. Lea.

Zmarł w ciężkich cierpieniach, osierocając rodzinę, liczne grono przyjaciół i dziennikarstwo. R. i. p.

Z KÓŁEK ROLNICZYCH.

Walne zebranie Kółek rolniczych powiatu szubińskiego i żnińskiego odbyło się w Żninie w niedzielę dnia 7-go lipca b. r. Zebranie zagail p. Malak, prezes Kółka żnińskiego, słowami „Niech będzie pochwalony Jezus Chr.“, powitawszy Patrona pana Chłapowskiego oraz członków i zdał przewodnictwo panu Patronowi. Na wstępie zaznaczył p. Patron nieobecność zasłużonego Patrona pana Jackowskiego, wspomniał o jego długoletniej pracy gorącemi słowy i wzniósł na cześć jego okrzyk „Niech żyje“. Następnie powołał pan Patron na sekretarza gospodarza Słomkowskiego, na ławników: p. Gomolewskiego, rządcę z Sielca i gospodarzy: pp. Witczaka, Glubę, Kruszkę, Dobrzykowskiego i Bykowskiego. Pierwszym referentem był włościanin p. Suliński z Kółka barcińskiego, który wygłosił odczyt „Jak żywić i obchodzić się z inwentarzem w obec tegorocznej klęski.“

Rozprawa na tegoroczny ciężki czas nie była tak łatwą i zdawaćby się mogło, że tu wogóle trudno jakiejś udzielić rady. Prelegent jednakże wyłożył to z taką znajomością rzeczy i z takiem obrachowaniem, że wprawił wszystkich w podziw. Za to go też pan Patron pochwalił i jego odczyt zabrał celem wydrukowania. W dyskusyi zabrał głos p. Kozłowski z Słębowa, dając praktyczne rady, jak podściełać piaskiem, który bardzo dobrze się nadaje jako ściółka pod bydło. Pan Ponikiewski z Chraplewa radził, aby zaraz po ukończeniu żniw słomę tak obliczyć, aby koniecznie wystarczyła, nie radzi też trzymać zawiele inwentarza.

Główną pomocą będzie w pasieniu okopowizna, a mianowicie kartofle tak dla bydła jak dla koni, osobliwie konie pasą się dobrze kartoflami parowanemi. Pan Winke radzi na ściółkę używać prósza torfowego, p. Malczewski z Młodocina, aby w tym roku łubin, który ma być przyorany, sprzątnąć i zakisić a z tego będą mieli rolnicy bardzo dobrą paszę. Podał także sposób zakiszania łubinu. Pan Mądrach radził na ściółkę brać wywyższone miejsca z łąk, które trzeba zorać i darninę wziąć na ściółkę. Pan Wicepatron Brzeski zakończył dyskusyą nadmieniając, iż najlepiej jest brać co kto ma.

Następnie udzielił pan Patron głosu gospodarzowi Kruszce do odczytu: „Jak się ma gospodarz zastósować, ażeby przy tegorocznej klęsce nie popaść w długi?“ Nacisk główny położył prelegent na to, aby nie grać w karty, dalej skasować w towarzystwach, w gościnie itd. tak zwane „kolejki“ przy kieliszku. Ile to pieniędzy idzie na marne, jeżeli 10 do 12 osób zasiędzie do kieliszka i rozpocznie swe „kolejki“.

Trzecim warunkiem jest praca pilna, trzeźwa i ciągła a przytem pewien spryt do handlu. Zaleca się też ostrożność przy zakupnie sztucznych nawozów.

Po ukończonym odczycie, który był bardzo dobrze opracowany, podziękował p. Patron prelegentowi i prosił bardzo zgromadzonych o porzucenie gry w karty a także i nałogu pijaństwa, a bardzo wiele zaoszczędzimy.

Gospodarz p. Malak mówił o oszczędności a osobliwie przestrzegał przed sprzedawaniem ziemi. Pan Wicepatron zabrawszy głos, mówił ogólnie o naszych wadach a osobliwie o rozrzutności, ganiąc, iż mało zaoszczędzamy na czarną godzinę, ganił też nabywanie kosztownych wózków, karyolek, drogich szorów, zaciąganie pożyczki u żydów zamiast u banków naszych itd.

Przy sprawdzeniu ilości członków, wykazało się, iż na zebranie przybyło 215 członków, dostarczyły ich:

Kółko Barcin 20, Gąsawa 10, Gorzyce 20, Juncewo 7, Kołdrąb 6, Łabiszyn 9, Rogowo 18, Słupy 10, Szczepanowo 16, Turza 22, Żnin 47, Szubin 29, Janówiec 1, (i to sam prezes z powodu złego połączenia kolei.) — Od ognia i gradu zabezpieczeni są prawie wszyscy; także rachunkowość prowadzi przeważna część członków. — Na zakończenie napominał pan Patron zebranych do pracy i oszczędności i zamknął zebranie.

Po zakończeniu odczytał pan Burzyń-

ski wiersz bardzo wesoły a dowcipny, „Biedne lato.“ Gospodarz Chęć pożegnał pana Patrona, wnosząc na cześć jego trzykrotny okrzyk: „Niech żyje!“

Z niemożności przybycia na zebranie wytłomaczył się pan Kowalski z Sarbinowa.

Zjazd przemysłowy w Krakowie.

Referaty na Zjazd zgłoszone.

1) Dr. Rutowski Tadeusz: Polityka przemysłowa kraju i państwa. 2) Dr. Głąbiński Stanisław: Przemysł a podatki. 3) Chodkiewicz Bronisław: Taryfy kolejowe a przemysł. 4) Dr. Stesłowicz Władysław: Ugoda z Węgrami. 5) Dr. Roszkowski Jan: O zużytkowaniu sił wodnych dla przemysłu. 6) Dr. Benis Artur: Autonomiczna taryfa cłowa i traktat handlowy z Niemcami. 7) Feldstein Herman: Organizacya kredytu dla wytwarzania i prowadzenia przemysłu. 8) Kornella Michał: O drogach wodnych. 9) Horoszkiewicz Stanisław: O źródłach energii dla motorów przemysłowych w Galicyi. 10) Baczewski Leopold: Kartele. 11) Tuleja Józef: O potrzebie statystyki przemysłowej kraju. 12) Dr. Linde Maryan: Utworzenie krajowego towarzystwa przemysłowego p. t. „Związek przemysłowy,“ 13) Szydłowski Wincenty: O przemyśle tkackim. 14) Dr. Lewicki Witold: Przemysł i miasta. 15) Weiser Henryk: Zamorski eksport Galicyi. 16) Małaczyński Maryan: O przemyśle drzewnym. 17) Załoziecki Roman: O przemyśle naftowym. 18) Blauth Jan: O znaczeniu torfu w przemyśle. 19) Zieleniewski Edmund: O przemyśle maszynowym. 20) Dr. Rittel Stanisław: Cła i rewizya traktatów handlowych w stosunku z Rosyą. 21) Starkel Juliusz: Szkolnictwo zawodowe. 22) Dr. Sprecher Maksymilian: O znaczeniu spółek akcyjnych dla przemysłu. 23) Tuleja Józef: O przemyśle odpadków. 24) Syniewski Wiktor: O fabrykacyi drożdży. 25) Baczyński Włodzimierz.: O fabrykacyi mydła i świec stearynowych. 26) Piotrowicz Zygmunt: O przeróbce odpadków kutego żelaza. 27) Klimaszewski Aleksander: O przemyśle kaflarskim i garncarskim. 28) Dr. Rodakiewicz August: O impregnacyi drzewa od ognia. 29) Dr. Ciesielski Teofil: O przeróbce miodu i owoców. 30) Libański Edmund: Elektryczność w przemyśle rolniczym. 31) Dr. Roszkowski Jan: Warunki rozwoju przemysłowego w Galicyi. 32) Dr. Rucker Jan: Przemysł konserwów. 33) Dr. Pawlik Stefan: O fabrykacyi wyrobów masarskich na eksport. 34) Chmielewski Zygmunt: Pomyślne dane rozwoju elektrochemicznego w Galicyi. 35) Dr. Gargas Zygmunt: Spółki z ograniczoną poręką i ich znaczenie dla rozwoju przemysłowego. 3) Goetz-Okocimski Jan: O przemyśle piwnym. 37) Bartonec Franciszek: O pokładach węgla kamiennego w zachodniej Galicyi.

Zjazd zapowiada się imponująco. Z Kongresówki zgłosiło się już około 200 uczestników. W Wielkopolsce natomiast małe jeszcze jest zainteresowanie się zjazdem. Dotąd zgłosiło się dopiero 10 panów. A przecież i nas tam nie powinno braknąć, gdzie rodacy z innych zaborów zgromadzą się, aby wspólnie radzić nad podniesieniem przemysłu polskiego. Zgłoszenia na Zjazd, który odbędzie się na początku września rb., przyjmuje p. budowniczy *Ludwik Frankiewicz*, Poznań, Ogrodowa ulica nr. 13, który na żądanie udziela także wszelkich informacyi.

Wiadomości.

Portret Patrona Maksymiliana Jackowskiego wykonany artystycznie na kartonie — mogą Czytelnicy nasi nabyć z Ekspedycyi naszej za nadesłaniem 50 fen.

Prosimy adresować: „Praca“ Poznań (Posen.)

— Baczność! Nowo przybyli abonenci otrzymają bezpłatnie prócz początku drukujących się powieści wszystkie te numery „Pracy,“ w których dotychczas zamieszczony był malowniczy opis Wielkopolski, jeżeli nam nadeślą na dowód kwit abonamentowy oraz znaczek 20-to fenygowy na portoryum.

— **Drobne** inserata czyli ogłoszenia przyjmujemy tylko za poprzedniem nadesłaniem należytości z góry.

Administracya „Pracy.“

— **Nową agenturę** na „Pracę“ i „Czytelnią Polską“ otworzyliśmy u p. Franciszka Wyrody w Małej Dąbrówce przy Katowicach na Górnym Śląsku.

— **Do skompletowania** kwartalników potrzebne nam są numery: 19, 23, 24 i 25 z r. b. — Szanownych Czytelników prosimy o łaskawe nadesłanie nam takowych, za co im się w inny sposób wywdzięczymy.

— **O śmierci** p. Kazimierza Koszutskiego, redaktora „Ziemianina“, doniosły niektóre gazety poznańskie i prowincyonalne oraz warszawskie. Tymczasem p. K. żyje, cieszy się najlepszem zdrowiem i bawi w Landek.

— **Ślub Ignacego hr. Mielżyńskiego,** syna hr. Karola i Emilii z hr. Bnińskich z hrabianką Seweryną Mielżyńską, córką ś. p. Józefa hr. Mielżyńskiego, odbył się dnia 20-go b. m. w Pawłowicach, w domu opiekuna panny młodej, Maksymiliana hr. Mielżyńskiego. W pięknym pałacu Pawłowickim, odwiecznej siedzibie rodziny, zebrało się z powodu żałoby panny młodej tylko grono najbliższej rodziny. Po mszy św. pobłogosławił Najprzewielebniejszy ks. Arcypasterz związek małżeński młodej pary, przemówiwszy do niej w nader rzewnych i podniosłych słowach.

Szczęść Boże młodej parze!

— **Pan B. Sniegocki,** dzielny kupiec, przeniósł swą renomowaną centralną drogeryą „Universum“ na ulicę Rycerską nr. 38 do domu „Pracy“ z placu Wilhelmowskiego nr. 10. Szczęść Boże w nowej siedzibie!

— **Wiktor Puciński,** uczeń pana Marchlewskiego zegarmistrza w Poznaniu, złożył egzamin na pomocnika przed komisyą egzaminacyjną w Berlinie. Za dobre wykonanie pracy uzyskał dyplom z predykatem dobrze.

— **Dr. Englich** osiadł w Bydgoszczy jako adwokat. Mieszka do 1 października r. b. przy Fryderykowskiej 16, od 1 października mieszkać będzie przy Nowym rynku I.

— **Jubileusz.** Dnia 30 b. m. obchodzi, jak nam donoszą, ks. dziekan Podlewski w Wilkowyi pod Jarocinem 25-letni jubileusz kapłański. Znany szerokim kołom z gorliwości kapłańskiej i obywatelskiej ks. dziekan wyświęcony został podczas walki kulturnej w Brixen w Tyrolu, a od lat przeszło 20 pracuje z największym pożytkiem w powiecie jarocińskim. Ad multos annos!

— **Zabikowo pod Poznaniem**, dnia 20-go lipca 1901. Jak się z wiarogodnego źródła dowiadujemy, odkupił nasz rodak p. Tomasz Małecki od Banku Parcelacyjnego na Piekarach przeszło 300 mórg z budynkami i pozostanie u nas nadal, podczas gdy resztę z 700 mórg rozparcelował Bank Parcelacyjny na drobne parcele pomiędzy chwalebnie dorabiających się robotników cegielnianych.

Zabiegi kolonizacyi spełzły więc na niczem; cześć panu Małeckiemu i godnej małżonce jego, że nie ulegli nęcącej pokusie, a chwała Bankowi Parcelacyjnemu, który tak zgrabnie parcelacyą pokierował.

— **Gostyń**, 17-go lipca. Dnia 28-go b. m. odbędzie się w naszem prastarem gnieździe zlot żupowy sokolski. Jak nam już wiadomo, przybędzie do nas dość znaczna liczba druhów, których jako naszych kochanych braci serdecznie przyjąć przystaje.

Prosimy zatem i mamy nadzieję, że nasze Szanowne Obywatelstwo, tak jak zawsze okaże i teraz prawdziwą gościnność polską i przyjmie naszych nam bardzo mile widzianych gości nie tylko sercem, ale i zarazem czynem t. j. kwaterami.

Jeden z Tow. „Sokół.“

— **Do przyszłego** numeru 4-go „Bociana“ mieliśmy sposobność oglądać przeznaczone rysunki, wykonane świetnie i oparte na miejscowych aktualnych stosunkach. Między innemi: „Znakomity wykład religii w języku niemieckim,“ „Publiczność polska na przedstawieniach niemieckich,“ „Spisek w Antoninie z podobizną księcia“ a przedewszystkiem „Wyborny szkic dotyczący języka polskiego.“ Przy tej sposobności nadmieniamy, że Redakcya „Bociana“ prosi nas o doniesienie, że „Bocian“ wychodzi w końcu każdego miesiąca. Adres Fryderykowska 12.

— **Würzburg**. Rodak nasz pan Kazimierz Hącia z Kępna zdał z odznaczeniem przy tutejszym uniwersytecie doktorat z prawa i ekonomii politycznej. Pan H. zamierza się poświęcić zawodowi bankowemu.

— **Serya IX kart pocztowych**, wydawanych przez J. Chociszewskiego w Gnieźnie, opuściła co dopiero prasę. Serya ta zawiera następujące reprodukcye, wykonane artystycznie, z obrazów Walerego Eljasza: 1) Kazimierz Wielki i kmiecie. 2) Męczennicy na Podlasiu. 3) Teofila Sobieska z synami Markiem i Janem (późniejszym królem polskim) przed grobowcem Żółkiewskiego uczy ich jak żyć i umierać za Ojczyznę. 4) Częstochowa 1655 r. X. Kordecki błogosławi polskiemu wojsku w walce ze Szwedami. 5) Stefanowi Czarnieckiemu, broniącemu Krakowa 1655 r., podają chłopcy znalezione kule, aby strzelać niemi do Szwedów. 6) Wiarus Kościuszkowski, „Hej tam w karczmie za stołem.“ 7) Przewodnik tatrzański z widokiem na Garłuch. 8) Żółkiewski pod Cecorą 1620 r. 9) Chrzanowski broni Trembowli przeciw Turkom 1675 r. 10) Sw. Jan Kanty rozdający nagrody pilnym uczniom. 11) Mapka Polski. Cena za 10 kart w kopercie 75 fen., dla Austryi z dodatkiem herbu Polski 1 kor. Wyszło nakładem p. Ch. wogóle przeszło 100 kart pocztowych w cenie za 10 sztuk w kopercie (oprócz IX seryi) 30 fen. czyli 35 hel. Zamawiać pod adresem: J. Chociszewski, Gniezno (Gnesen).

— **W. Dr. Elsnera** „Deutche Versicherungs Zeitung“, jednym z najpoważniejszych organów czytamy: „Przypuszczenie nasze, któreśmy przy omawianiu sprawozdania „Westy“ za rok 1899 na jej korzyść wypowiedzieli, sprawdza w zupełności przedłożone nam sprawozdanie z roku 1900. Kiedy przed rokiem zaznaczyliśmy, że przejście do rezerw pełnych bankowi bardzo mało trudności sprawiło, wykazuje sprawozdanie tegoroczne po odłożeniu pełnych rezerw i dokonaniu dość wysokich odpisów znacznie wyższy zysk jak w roku ubiegłym. Nadwyżka aktywów nad pasywami wynosi w rzeczywistości przeszło 112,000 mk., z tych przyjdzie do podziału wedle § 40 ustaw banku przeszło 58 tys. marek jako zysk z roku obrachunkowego, przyczem na członków zabezpieczonych przypada 10% dywidendy w stosunku do składek rocznych, zaś 54,000 mk. zatrzymano w rezerwie na rok 1901. Jeżeli pod względem obrotu zabezpieczeń rok obrachunkowy mniej korzystnie się przedstawia, zbytecznem dodawać, że na ten rezultat mniej wpłynęła podwyżka rezerw, jak ogólna depresya ekonomiczna, zniewalająca mniej zasobniejszych członków do przedwczesnego rozwiązywania ugód zabezpieczenia i odbierania ceny odkupu polisy. Z tego nie można wcale wyciągnąć wniosku, jakoby w dalszym rozwoju „Westy“ słaba okazała się strona, ponieważ zniżki wzrostu zabezpieczeń u większej części towarzystw należy szukać w ogólnym zastoju ekonomicznym. Już fakt sam, że przyrost wniosków nowych w pierwszych miesiącach roku bieżącego większy jest, niż w równym okresie roku ubiegłego i że poprzedni rok obrachunkowy odznaczył się nader pomyślnym rezultatem finansowym dowodzi, że instytucya wszelkie trudności techniki asekuracyjnej przy pomocy swych członków zabezpieczonych dawno pokonała i pod względem rozwoju na najlepszych torach się znajduje.“

RUCH W TOWARZYSTWACH.

— **Gostyń**, w lipcu 1901. Czołem! Dnia 28-go lipca 1901 r. urządza gniazdo nasze Zlot Żupowy okręgu środkowego, na który jak najuprzejmiej zaprasza Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół.“

Zarząd.

Józef Woziwodzki, prezes. Kubowicz, sekretarz.

— **Bukowiec.** Działo się w Bukówcu dnia 15-go lipca r. b. na zebraniu organ. w mieszkaniu miejscowego kolegi Zaporowskiego, na które stawiło się aż 5-ciu wyraźnie pięciu członków czynnych i jeden honorowy miejscowy, ks. wikary Fr. Goncerzewicz. Pan prezes zagaiwszy zebranie o zapowiedzianej godzinie pochwaleniem Pana Boga, ubolewał nad tak małą liczbą przybyłych członków, tembardziej nad tymi, którzy najbliżej mając jak Opalenica, Michorzewo i Gnin właśnie się na zebr. nie stawili. Przystąpiono do obrad porządku dziennego. Najprzód p. prezes zdał sprawę z zebrań roku ubiegłego, poczem odśpiewano każdy z osobna Ant. Vesp. Defun. Odczyt wypadł, gdyż prelegent bez uniewinnienia nawet się nie stawił. Odśpiewano „Bracia dłoń itd.“ potem nastąpiła deklamacya org. z Ptaszkowa. Wykład p. org. z Opalenicy również wypadł ponieważ i tenże bez uniewinnienia, się nie stawił. Na delegatów na walne zebranie do Poznania wybrano pp. Wolnowskiego z Konarzewa i Zaporowskiego z Bukówca. Uiszczono się ze składek i zakończono pieśnią „Boże mój drogi itd.“ poczem przewodniczący zebranie solwował. — Przyszłe zebranie uchwalono odbyć w Opalenicy na początku grudnia r. b.

Zaporowski, sekretarz.

— **Essen w Nadrenii**, 22-go lipca. W niedzielę, 28-go lipca, odbędzie się 5ty Zjazd Kółek śpiewackich z Westfalii i Nadrenii w Wanne na sali p. Marzinza, przy ulicy Bahnhofstr. Początek o godz. 4tej po poł. Spodziewamy się, iż Rodacy jak zwykle licznym udziałem udowodnią jak wielce sprawa pieśni naszej leży im na sercu. Zgłosiło się 17 Kółek do śpiewu o nagrody, do tej cyfry jeszcześmy tu nigdy nie przyszli.

Od Redakcyi.

Panu T. G. w Berlinie. Za zamieszczenie pierwszego wiersza byłaby koza i to nie lada. Co do drugiego — nie nadaje się do „Pracy.“

Panu M. G. w Miłosławiu. „Dziennik Polski“ i Słowo Polskie.“

Panu A. R. w Berlinie. — Z cechami co najmniej 50. — O ile wiemy, fachowa gazeta stolarska w języku polskim nie wychodzi. Co do hasła, to jesteśmy jako nie fachowi w tej sprawie niekompetentni.

Panu St. M. w Miłosławiu. — Pan inspektor szkolny zmieni pewnie swoje zdanie, skoro zapozna się z nowem prawem szkolnem ministra oświecenia. Naszem zdaniem córka Pańska z ukończeniem 14-go roku życia musi być uwolnioną ze szkoły.

Panu Ziol. w Ostrzeszowie. — Takich kwestyi względnie informacyi z zasady nie zamieszczamy, gdyż mieliśmy już w tych sprawach dużo nieprzyjemności. Często notatki takie były skreślone nieżyczliwą ręką, by szkodzić konkurentom.

Panu S. M. M. — Sąsiadowi jest wolno ogród swój od gruntu sąsiada płotem odgraniczyć. Płot winien być przynajmniej 5 stóp wysoki. Drzew na samej granicy nie wolno sąsiadowi sadzić i winien drzewa takie na żądanie sąsiada usunąć (§ 923 ustęp 2 prawa obywatelskiego.)

Panu Janowi Mr. w Poznaniu. — „Kuryer handlowo-przemysłowy“ już przeszło od dwóch lat zaprzestał wychodzić.

Panu Tomaszowi M. w R. — Nazwisko „Malcherczyk“ pochodzi prawdopodobnie od nazwiska francuzkiego „Malherbe.“ Książki nabyć Pan możesz w księgarniach Leitgebra lub Cybulskiego w Poznaniu.

Panu Nikodemowi M w Lwówku. — Zamieść Pan najlepiej mały anons, a ofert będziesz miał Pan poddostatkiem, gdyż notatek informujących o osiedlaniu się korzystnem i t. d. nie zamieszczamy więcej w części redakcyjnej. Mieliśmy bowiem w tej sprawie dużo i to dużo nieprzyjemności. Notatki takie są często skreślone ręką nieżyczliwego konkurenta.

Zarządowi Tow. przemysłowego w Śremie. — Notatka o zabawie letniej doszła nas za późno i to już po wydrukowaniu numeru 25-go na niedzielę, dnia 28-go z. m. Na przyszłość prosimy o wcześniejsze nadesłanie notatki.



Album „Pracy“.

Wesele chłopskie w Małej Rusi.

Drukiem „Pracy.“